ZNAK

MIESIĘCZNIK

KS. PIOTR CHOJNACKI: O WYCHOWANIU I CHARAKTERZE □ **KS. ANDRZEJ BARDECKI:** TYPY POWOŁANIA KAPŁAŃSKIEGO □ **TOMASZ MERTON:** POSIEW KONTEMPLACJI CZĘŚĆ II □ **JÓZEFA GOLMONT:** UWAGI O ANKIECIE „ZNAKU" □ ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ

32

KRAKÓW

KWIECIEŃ 1952

REDAGUJE ZESPÓŁ

Członkowie zespołu: **Antoni Gołubiew, Hanna Malewska, Maria Morstin-Górska, Stefania Skwarczyńska, Stanisław Stomma, Stefan Swieżawski, Jerzy Turowicz, Jerzy Zawieyski**

REDAKCJA: **Kraków, ul Sobieskiego 3, III p., m. 8. Tel. 598-46**
ADMINISTRACJA: **Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 213-72**

GODZINY PRZYJĘĆ REDAKCJI:
codziennie od 10—12

ADMINISTRACJA: **codziennie od 9—13**

CENA ZESZYTU — 4.50 ZŁ
W PRENUMERACIE — 4.20 ZŁ

Prenumeratę wpłacać należy na konto P.K.O. Nr. IV 1655/110 P. P. K. „RUCH" — („ZNAK")

Format A5 | Ark. druk. 5½ | Nakład 6.000 egz.
Maszynopis otrzym. 22.I.52 | Pap. druk. sat. VII kl. 61×86 70 g | Druk ukończ. 5.IV.52.

Krakowska Drukarnia Prasowa, Kraków, ul. Wielopole 1. — Zam. 243. — M-3-10726

ZNAK
MIESIĘCZNIK

ROK VII — KWIECIEŃ 1952 — NR 2 (32)

KS. PIOTR CHOJNACKI

O WYCHOWANIU I CHARAKTERZE

1. WYJAŚNIENIE POJĘĆ

Pojęcia wychowania i charakteru należą do tych, którymi operuje bardzo szeroki ogół ludzi, i które są obciążone wieloznacznością.

Wyrazy o niejasnym znaczeniu, pojęcia o niewyraźnie uświadomionej treści stają się łatwo powodem do nieporozumień nie tylko w teorii, ale i w praktyce. Dyskusja nad tym, co rozumieć należy przez wychowanie, jakie są jego zadania i środki, ma doniosłość nie tylko dla pedagogiki teoretycznej. Jeżeli w praktyce życiowej się zdarza, że ludzie nie umieją, nie potrafią wychowywać, składamy odpowiedzialność za to najczęściej na brak umiejętności, na brak taktu pedagogicznego, chociaż dosyć często zachodzi inny radykalniejszy błąd, mianowicie fałszywe pojęcie o wychowaniu i charakterze. Błąd w samym pojęciu wychowania i charakteru jest rozpowszechniony daleko więcej niż przypuszczamy; jemu przypisać należy błąkanie się praktyki pedagogicznej po manowcach i bezdrożach. Wprawdzie *zamierza się wychowanie i mówi się o charakterze, praktycznie jednak przeprowadza się raczej tresurę i wytwarza nawyki.* W wypadkach takiego nieporozumienia wychowanie, jeśli się odbywa, to poza nawiasami wpływów same-

go wychowawcy, albo co najwyżej jako wytwór uboczny, przygodny.

Potrzeba uświadomienia sobie znaczenia wyrazów: wychowanie, charakter, sięga więc poza ramy jakiegoś czysto teoretycznego rozważania. Praktyka wychowania domaga się tego usilnie.

Naprzód co rozumiemy przez charakter. Przez charakter rozumiemy zespół cech zależnych lub niezależnych od siebie, znamionujących rozum, wolę, uczucie człowieka danego i wyróżniających go od innych ludzi.

Odróżniamy charakter wrodzony i nabyty. Charakter wrodzony jest zespołem zdolności i dyspozycji uwarunkowanych samą konstytucją, którą przynosimy na świat. Wpływy dziedziczne zarówno cielesne jak i psychiczne pochodzące od naszych rodziców, najbliższych i dalszych należy wliczyć do czynników konstytutywnych. Charakter wrodzony nazywamy również temperamentem. Charakter nabyty powstaje w następstwie działania środowiska, w którym się znajdujemy i w następstwie własnej pracy nad sobą. Pod wpływem bodźców pochodzących od świata fizycznego i psycho-socjalnego nasze zdolności i dyspozycje wrodzone rozwijają się, aktualizują i przejawiają pewne właściwe jednostce sposoby działania i reagowania. Z biegiem czasu wyrabiają się w jednostce nawyki, sprawności i ustalają pewne sposoby odbierania wrażeń i oddziaływania; tworzy się charakter. Tworzenie się charakteru odbywa się częściowo pod naporem, pod ciśnieniem wpływów idących od środowiska i częściowo w zależności od światopoglądu wytworzonego i uznawanego przez jednostkę.

a) Temperament, b) środowisko fizyczne, psychiczne, społeczne i gospodarcze, c) światopogląd przyswojony lub samodzielnie urobiony, d) wola mocna — oto są najważniejsze czynniki, które wchodzą w grę przy kształceniu charakteru i osobowości.

Gdy mówimy o wychowaniu, mamy na uwadze nie tyle charakter wrodzony, będący następstwem biologicznej konstytucji, ile charakter do nabywania, do wytworzenia na podłożu charakteru wrodzonego, czyli temperamentu. Wtedy chodzi o charakter, jakim być powinien, o charakter w znaczeniu wartości osiągalnej, o charakter w znaczeniu etycznym, nie przesądzając przy tym, czy wartość ta jest pozytywna czy negatywna.

Przez charakter, rozważany na płaszczyźnie etycznej, rozumieć należy pewien stały ustrój duchowy, taki, że akty woli i działanie nią kierowane są jednoznacznie wyznaczane przez zasady i normy światopoglądu, wchodzącego w skład ustroju duchowego danego osobnika. Jeżeli te zasady zgadzają się z prawami etyki, nazywamy charakter dobrym, etycznym w węższym znaczeniu, w przeciwnym razie zowiemy go złym, nie etycznym.

Charakter w znaczeniu biologicznym, czyli temperament, pokrywa się z grubsza z tym, co nazywa się indywidualnością. Każdy człowiek posiada sobie tylko właściwy zespół dyspozycyj cielesnych i psychicznych i odznacza się odrębnymi sposobami działania i oddziaływania na otoczenie; jedno i drugie tworzy indywidualność człowieka. W indywidualności człowieka leżą zadatki charakteru i osobowości. Zadanie wychowania polega właśnie na tym, by z tych zadatków rozwinąć charakter i osobowość, nie niszcząc jednak indywidualności. Jeżeli indywidualność człowieka, przejawiająca się w wielorakich instynktach, popędach, uczuciach, dążeniach i sposobach poznania, uda się ująć w stałe tryby i nadać jej pewien ustalony kierunek w myśl światopoglądu, czyli doprowadzić ją do konsekwentnego postępowania pod kierownictwem niewzruszonych zasad, staje się ona wtedy charakterem w znaczeniu etycznym [1]).

Na budowę charakteru w rozumieniu etycznym składają się elementy intelektualne, wolitywne, uczuciowe i sposób ich wzajemnego przyporządkowania [2]). Elementy intelektualne reprezentują pewne zasady, uznawane reguły, czy urobione przeświadczenia. Elementy zaś wolitywne znajdujemy w czynnościach wyborczych, w chceniach rozumowo wyznaczonych [3]).

Elementy uczuciowe, dodatnie lub ujemne, towarzyszą intelektualnym i wolitywnym zależnie od sposobu, w jaki się splatają w procesach poznania, chcenia i działania. W charakterze wyrobionym, skończonym, elementy intelektualne i wolitywne

---

[1]) Charakter w znaczeniu etycznym przeciwstawiamy tu charakterowi w znaczeniu opisowym, a więc charakter w znaczeniu etycznym nie jest tym samym co charakter etyczny, moralnie dobry. Człowiek postępujący konsekwentnie według zasad złych ma też charakter.

[2]) Gillet O. P. Kształcenie charakteru. Poznań 1937.
Woroniecki O. P. Katolicka etyka wychowawcza. Poznań 1927.

[3]) S. Thomas Aquinas, De Veritate q XXIV a 1, 2; Mausbach, Grundlagen u. Ausbildung des Charakters nach dem hl. Thomas v. Aquin. Freiburg 1920, s. 46 ns, 63 ns.

splatają się organicznie ze sobą tak, iż czynności wyborcze podlegają wyznaczeniu stale przez te same zasady, czy reguły, aczkolwiek rozmaicie stosowane zależnie od zmieniających się sytuacji [1]). Charakter o budowie doskonałej zaznacza się w jednokierunkowości postępowania i nie znosi zygzaków życiowych [2]). Na ogół towarzyszą mu dodatnie akcenty uczuciowe.

Zauważmy, iż mowa o charakterze wykończonym, którego budowa odznacza się idealną zwartością. Faktycznie jednak w konkretnych wypadkach mamy do czynienia z charakterami więcej lub mniej rozwiniętymi, albowiem żaden człowiek nie może się poszczycić bezwzględną pewnością, że w każdym wypadku i wszelkich okolicznościach jego chcenia pójdą po linii wytkniętej przez zasady. Wszak każdego mogą zaskoczyć nagłe wzruszenia, lub niespodzianie wybuchające skłonności, które mimo systematycznego ich ujarzmiania i odpierania, odezwać się mogą z wzmożoną siłą i narazić na odstępstwo od zasad przemyślanych i przyswojonych w chwilach spokoju i równowagi psychicznej.

Do tego, aby powiedzieć, że ktoś ma charakter, potrzeba, aby posiadał światopogląd i określone zasady i by według nich chciał postępować i postępował. Nie ma charakteru tam, gdzie brak światopoglądu i gdzie nie ma silnej woli, brak zasad, lub gdzie się łatwo od nich odstępuje. Brak zasad stwierdzamy wówczas, gdy akty woli miast być wyznaczone przez jakieś sądy podstawowe, nadające dążeniom jeden kierunek i zapewniające im konsekwencję, bywają określane od wypadku do

---

[1]) E. Meumann, Vorlesungen zur Einführung in die experimentelle Pädagogik I². Leipzig 1911.

[2]) Charakter w znaczeniu etycznym nazywamy doskonałym znowu w dwojakim sensie, mianowicie formalnym i materialnym. Charakter formalnie doskonały mamy wówczas, gdy jest zbudowany z właściwych sobie elementów należycie skoordynowanych. O takim charakterze rozprawia psychologia i pedagogika; wtedy mówi się o trwałych zasadach, ale abstrahuje się od tego, jakie one są pod względem wartości etycznej, nie bierze się pod uwagę treści, materii zasad.

Oczywiście takie stanowisko jest sztuczne dla względów metodologicznych. W konkretnym życiu i wychowaniu wchodzi w rachubę i treść, materia zasad, czy są dobre, czy złe, czy prawdziwe czy fałszywe. Ta ocena zaś wchodzi już w dziedzinę etyki i religii, i pedagogika wpada w zależność od etyki, gdy traktuje o doskonałym charakterze i jego wychowaniu pod względem materialnym. Wiele nieporozumień tak u przedstawicieli pedagogiki jak i etyki dałoby się usunąć, pamiętając o tym odróżnieniu formalnej i materialnej strony charakteru.

wypadku coraz to innymi sądami, nieraz zupełnie przeciwnymi. Oportuniści, przekładający wygodę życia ponad prostolinijność, i zmieniający zasady, by się nie narazić na walkę wewnętrzną czy zewnętrzną, zasilają obficie kadry ludzi bez charakteru.

2. CHARAKTER, POSTĘPOWANIE I NAWYKI.

Skoro charakter przedstawia organiczną strukturę czynników myślowych i wolitywnych, dochodzimy do ważnego dla wychowania wniosku, mianowicie, że charakter, aczkolwiek przejawia się na zewnątrz w czynach widomych, niekoniecznie w nich się uwydatnia.

Spotykamy się tu z tą samą trudnością jak przy obserwacji psychologicznej. Obserwujemy, właściwie i ściśle biorąc, zachowanie się zewnętrzne człowieka, jego mimikę, gesty, mowę i postępowanie; i sądzimy, że te znaki wyrażają takie, lub takie myśli i dążenia; sądzimy przez analogię, odwołując się do podobnych przeżyć, własnych. Nie mamy jednak rękojmi, czy nasze wnioskowanie trafnie przechodzi od objawów zewnętrznych do przeżyć wewnętrznych, których przecież u innych wprost nie widzimy, tym bardziej, że nie zachodzi związek jednoznaczny między takimi myślami i chceniami, a takimi objawami mimiki, gestów, mowy i czynów. Zachowanie się zewnętrzne, podlegające obserwacji osób drugich, należy do całokształtu i do pełności wewnętrznych przeżyć myślenia, chcenia i uczuć; nie stanowi jednak elementu konstytutywnego dla nich. Innymi słowy, znając postępowanie zewnętrzne człowieka, nie mamy jedynej i koniecznej drogi do tego, by z pewnością wnioskować, że postępowanie zostało wyznaczone przez takie myśli i takie chcenia. Skazani jesteśmy na prawdopodobieństwo i pozostawieni intuicji, która snadnie zawieść może.

Rozeznanie charakteru na podstawie postępków nie należy do rzeczy łatwych; zdarzyć się nawet może, że postępki nie tylko, że nie doprowadzą nas do oznaczenia charakteru, ale przeciwnie, nawet mogą nas zwieść i spowodować błędną diagnozę.

Dzieje się to wówczas, gdy w błędnym mniemaniu, że się wychowuje charaktery, wyrabia się w gruncie rzeczy i tresuje nawyki. Błędne pojęcie o wychowaniu wynika z fałszywego pojęcia o charakterze, a oba te błędy złączone razem odbijają się fatalnie na taktyce wychowawczej, która zamiast osiągnąć for-

mację charakteru, doprowadza właściwie do jego deformacji, do jego namiastek nieraz wypaczonych pod względem etycznym.

Błąd w pojmowaniu charakteru zachodzi na dużą skalę, gdy uważa się za charakter to, co nim właściwie nie jest, lub co odgrywa rolę może ważną, ale jednak drugorzędną, pomocniczą. Otóż dosyć często podkreśla się mocno znaczenie nawyków, przyzwyczajeń, które usposabiają do powtarzania jednakowych, czy też podobnych aktów. Ponieważ nawyki skłaniają do jednostajnego postępowania, a charakter polega na jednoznacznym wyznaczaniu aktów woli przez trwały układ sądów, czyli tak nawyki jak i charakter odznaczają się jedną wspólną cechą, mianowicie stałością, przeto czepiano się tego i stawiano na jednym poziomie wyrobienie nawyków z wychowaniem charakteru. Tymczasem o ile wychowanie charakteru pociąga za sobą wyrobienie nawyków, o tyle wyrobienie nawyków niekoniecznie idzie w parze z wychowaniem charakteru, a to z tego powodu, że można wytresować u ludzi nawyknienia, przyzwyczajenia, które nie są wyrazem ich sądów i ich woli, które zostają jakby na marginesie ich ustroju duchowego. Faktem jest, że niekiedy wpływ na ludzi nie przenika do ich głębi, lecz zatrzymuje się jakby na obwodzie ich psychiki, bo ich wnętrze okazuje się nieprzystępne, odporne, lub też sposoby wpływania nie są na to obliczone, nie są odpowiednie. Gdy wychowujący się młody człowiek zostaje pozbawiony wolności, gdy nad nim ciąży strach i skrępowany jest przymusem, lub gdy wszystko ma drobiazgowo wyznaczone tak, że bardzo mało zostaje sposobności do myślenia i chcenia samodzielnego, umysł i wola znajdują się w zastoju z braku warunków nieodzownych do wyrabiania się tych podstawowych cech charakteru. Oba elementy konstytutywne charakteru nie rozwijają się wcale lub słabo się rozwijają, jeżeli sposobności do pokonywania trudności i do wysiłków są zbytnio zredukowane. Nadmiar ułatwień rozleniwia rozum i wolę podobnie jak nadmiar trudności może zniechęcić do zdobywania się na akt woli.

Pomieszanie charakteru z nawykami i wychowania z tresurą jest podobne do pomieszania inteligencji z pamięcią. Człowiek o sprawnej i rozległej pamięci niekoniecznie bywa inteligentnym, jeżeli obfity zasób wiadomości przytłacza go i zwalnia z potrzeby szukania nowych rozstrzygnięć myślowych czyli sądów, zbytnia przewaga pamięci hamuje często rozwój inteligencji, a duża pamięć, erudycja stwarzają pozory inteligencji

i zasłaniają jej braki [1]). Tak samo nawyknienia i silne przyzwyczajenia, choćby postępki z pedantyczną wprost regularnością powracały całymi latami, tym samym nie wyrażają współmiernie samego charakteru. Mogą być następstwem charakteru, ale też i przeciwnie: mogą zasłaniać brak charakteru pożądanego.

Nawyki bądź wadliwe bądź cnotliwe zjawiają się w następstwie charakteru etycznie złego, lub etycznie dobrego. Charakter krystalizuje się w nawykach dobrych lub złych, ale należy przy tym pamiętać, że oprócz takich nawyków są możliwe i inne, mianowicie nie będące wykładnikami myślenia i woli danej osoby, nawyki wytworzone mechanicznie od zewnątrz, wyrastające nie z własnych przekonań czy potrzeb i skłonności, lecz narzucone przez sztucznie ułożone warunki i wyuczone pod przymusem.

Nawyki odgrywają wobec charakteru rolę podrzędną, pomocniczą. Dzięki nim nabieramy łatwości i sprawności w dokonywaniu czynności już wyznaczonych skądinąd bądź przez popędy, lub impulsy wzruszenia, bądź przez intelekt. Nawyki przyczyniają się do ekonomii energii psychicznej. Z tego punktu widzenia trudno zaprzeczać ich użyteczności dla wychowania. Inna sprawa, czy zasługują na takie przecenianie, iżby się miały stać celem przewodnim wychowania. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, że tak, należy stwierdzić że nie.

Wyrobienie nawyków nie może stanowić celu, ku któremu zmierza wychowanie, a to z następujących względów. Nawyki mimo pozornej trwałości snadnie zawodzą, skoro tylko zmienią się warunki. A życie współczesne zwłaszcza szybkim ulega zmianom, stawiając człowieka w nowych, bardzo zmienionych sytuacjach. Nawyki funkcjonują narazie siłą rozpędu, ale potem stopniowo słabną, zwłaszcza gdy przymus zewnętrzny ustanie, a wewnętrznej potrzeby brak. Zawodzą również, gdy życie człowieka przestanie toczyć się spokojnymi falami wrażeń, wyobrażeń, uczuć i dążeń i rozpocznie płynąć wartkim nurtem, często wzburzonym i spienionym, jak się to zdarza w chwilach silniejszych przeżyć.

Wtedy dosyć często zjawiają się czyny nieoczekiwane, nieprzewidziane i wprost przeciwne do zachowania się dotych-

---

[1]) Wł. Dawid. Inteligencja, wola i zdolność do pracy. Warszawa 1927[3], s. 379.

czasowego danej osoby. Mówi się wtedy: „Ten człowiek zmienił się ogromnie". Może należałoby raczej powiedzieć, że prawdziwy jego charakter przedarł się poprzez krępujący kaftan nawyków, którym go obezwładniło nietaktyczne wychowanie [1]).

3. POZORY CHARAKTERU.

Daleko trudniej jest wychowywać charakter niż wyrabiać nawyki czyli tresować, dlatego właśnie ludzie idą niechcący drogą mniejszego wysiłku, zwalniając się od mozołów liczenia się z potrzebami osobowości wychowywanej.

Wychowanie wymaga zapoznania się z zasobem skłonności, popędów, uczuć, wyobrażeń i usposobień właściwych danej jednostce i tworzących jej indywidualność, po to, by wiedzieć, jak wpływać, żeby osiągnąć zgrane ich współdziałanie w kierunku oznaczonym i pożądanym [2]) tak, by wpływanie wychowawcze nie paraliżowało kształtowania osobowości, która stanowi zestrój indywidualności i charakteru.

Takt wychowawczy, tak niezbędny, jest nie do pomyślenia bez poznania indywidualności.

By poznać indywidualność wychowanka, należy mu dać sposobność do pokazania jego usposobienia, do ujawnienia skłonności. Otóż nadmierne ograniczenie wolności i zbytnie skrępowanie nie sprzyja możliwości poznania jego popędów i skłonności, sposobów reagowania jego temperamentu; co więcej, przeszkadza i temu, by wychowanek zrozumiał własną naturę [3]). Pod ciśnieniem za gęstej siatki zewnętrznych rygorów i z obawy wygórowanej przed karnymi następstwami wychowanek u k r y w a nie tylko przed wychowawcami, ale i p r z e d s o b ą s a m y m swe naturalne, szczere dyspozycje. Dzieje się to tym łatwiej im słabszą ma wolę i więcej bojaźni. Słowem ulega autosugestii, sprowadzającej u niego stany nienaturalne, sztucz-

[1]) G. Kerschensteiner. Charakter, jego pojęcie i wychowanie. Tłum. A. Tom. — Warszawa 1932, s. 17.

[2]) F. W. Foerster, Das Kulturproblem der Kirche, 1920, s. 58 „Zadanie i sztuka wychowania polega nie tyle na tłumieniu czyli poskramianiu wad, ile raczej na rozpoznaniu i hodowaniu dobrego ziarna, które często bywa ukryte w postępowaniu błędnym i lekkomyślnym".

[3]) Wychowawca musi respektować indywidualność wychowanka w granicach oczywiście dopuszczalnych przez warunki społeczne, nie tylko, by móc lepiej poznać swego wychowanka, ale i dlatego, że niemożliwe jest totalne opanowanie właściwości temperamentu i że zbytnie ingerowanie przechodzi łatwo w tłumienie indywidualności i wywołuje samoobronę w postaci oporu.

ne, których nie można nazwać zwykłą hipokryzją, lub fałszem, bo nie zamierza, nie ma intencji wprowadzania w błąd przez wytworzone stany pozorne, sam bowiem łudzi się nimi. Dzieci ulegają prędzej autosugestii niż dorastający, dziewczęta są podatniejsze niż chłopcy. W zakładach wychowawczych zamkniętych i obciążonych przerostem rygorów wypadki autosugestii wspomnianej spotykają się częściej niż w otwartych. Wypadki autosugestii maleją, gdy w procesie wychowania oddziaływanie na wnętrze wychowanka, na jego rozum, wolę i uczucia góruje nad zabiegami zewnętrznymi i metodami, gdy litery przepisów zewnętrznych i stróżowanie nad ich zachowaniem nie zabijają ducha. Działanie na wnętrze napotyka zadania trudniejsze, wymagające od wychowawcy rozwagi, roztropności, wyrozumiałości i wczuwania się w konkretne sytuacje. Wymaga też samokontroli i samokrytyki. Wychowawca powinien nie tyle stróżować ile zaprawiać wychowanka do wolności. Stróżowanie bowiem jest negatywną stroną, wspomaganie w prawidłowym rozwijaniu instynktu wolności według norm etycznych i społecznych stanowi pozytywną stronę czynności wychowawczej.

Wychowawcy bezwiednie zatrzymują się jakby wpół drogi nie podejmując pozytywnej, trudnej roli, zatrzymując się na zabiegach peryferycznych, jeżeli nie wyłącznie, to przeceniając ich doniosłość ponad słuszną miarę.

Zbytnie skrępowanie wychowanków tak pod względem ilości wskazówek, czy przepisów, jak i pod względem intensywności kar wpływa, i to w trybie przyśpieszonym, na ujęcie w pewne formy ich zachowania się zewnętrznego. Zostaje jednak duża niewiadoma, czy i postawa wewnętrzna, duchowa uległa rozwojowi i ukształtowaniu.

Należy sobie uświadomić, że przy wychowaniu charakteru zasadniczo chodzi o ugruntowanie w wychowanku pewnego nastroju duchowego trwałego, dzięki któremu wszelkie akty woli i czynności podlegałyby wyznaczeniu przez zasady uznawane przez rozum i umiłowane uczuciowo. Nie zaprzeczamy, iż systematyczne wyznaczanie aktów woli przez maksymy rozumu przechodzi w nawyk. Od nawyków myśli i woli odróżnić jednak należy nawyki postępowania zewnętrznego. O ważności nawyków myślowych i woli dla wychowania charakteru nie ma wątpliwości. Nie mogą być one wszakże nawykami statycz-

nymi, zakrzepłymi, jak te drugie, lecz dynamicznymi, podlegającymi zmianie wraz ze zmianą warunków rzeczywistości materialnej i społecznej a zatem i motywów [1]).

Nawyki zachowania się zewnętrznego nie stanowią o charakterze. Czy wynika z tego, że należy je lekceważyć i uważać za bezużyteczne? Otóż nie. Naprzód dlatego, że wpływ na wnętrze wychowanka osiągamy nie tylko bezpośrednio, ale często też za pośrednictwem zabiegów zewnętrznych. Zwłaszcza w wieku dziecięcym, gdy rozum i wola nie są rozwinięte dostatecznie, wychowanie musi rozpoczynać od wytwarzania nawyków [2]).

Stwarzając wychowankowi odpowiednie warunki i przepisując mu pewne sposoby zachowania się, udaje się niekiedy doprowadzić go do takiego usposobienia umysłu i woli, jakie pragniemy wywołać.

Użyteczność nawyków zaznacza się i w tym, że w pierwszych chwilach, nim rozum rozważy nową sytuację i wola zdoła opanować znienacka powstałe dążenia, lub wyjątkowo silne impulsy i wzruszenia, nawyki stanowią jakby wał ochronny. Nawyki bowiem pracują automatycznie i stawiają opór narazie, co zabezpiecza człowieka przy pierwszych utarczkach życiowych, choćby na krótko. Siła oporu znajduje się w stosunku wprost proporcjonalnym do siły nawyknienia. Silniejsze jednak wstrząsy, których życie nie szczędzi nikomu, a zwłaszcza dłużej trwajace i nieprzychylne zmiany warunków, potrafią stopniowo zniszczyć nawyki i zdezorganizować ich koordynację, jeżeli intelekt i wola, a wiec zasadnicze elementy charakteru, są bezwładne i nie interweniują przy kształtowaniu zachowania się zewnętrznego i przy funkcjonowaniu nawyków.

Podobnie jak kojarzenie się wyobrażeń nie tworzy myślenia i pamięć nie stanowi inteligencji, a tylko ją warunkuje, nawyki nie stanowią charakteru, aczkolwiek oddają pewne usługi wychowaniu.

Charakter oznacza pewną zamierzoną organizację życia psychicznego, pewną koordynację wyobrażeń, popędów, wzruszeń, dążeń i rozumowań praktycznych, co nadaje jednolity kierunek życiu danej osoby. Naprzeciw nieuporządkowanego potoku dążeń, popędów i uczuć występuje charakter jako jedność pow-

---

[1]) J. Geyser, Lehrbuch der allgemeinen Psychologie, I Münster 1920, s. 509—510. J. Lindworsky, Der Wille. Leipzig 1923, s. 112—113.

[2]) Nawroczyński Bogdan, Swoboda i przymus w wychowaniu. Warszawa 1932.

stająca przez usystematyzowanie tych różnorodnych czynników, ciągle rywalizujących między sobą [1]).

4. TECHNIKA WYCHOWAWCZA

Wychowanie charakteru osiąga swe zadanie, jeżeli uda się doprowadzić wychowanka do takiego usystematyzowania się wewnętrznego, w którym konsekwencja oparta na pewnych zasadach rozumu praktycznego zapanuje nad przygodnością i zmiennością wpływów postronnych.

Warunkiem do uporządkowania wewnętrznego i rozwinięcia się charakteru jest podatna do tego indywidualność, to znaczy, aby przy jakimś zespole dyspozycji jej właściwych dała się odnaleźć jeszcze inna grupa dyspozycji, którą możnaby zużytkować dla przeciwwagi, wzmacniając ją przez zabiegi wychowawcze. Poznając właściwości psychiczne wychowanka i wdrażając go do ich wyzyskania dla założonego celu, naprowadzamy go na technikę samopanowania i samokształcenia osobowości. „Wychowanie nie polega na prostej walce przeciw wrodzonej naturze, lecz raczej na roztropnym użyciu jednych sił wrodzonych przeciw drugim. Wychować — to dokonać stosownego wyboru w całej masie wrodzonych dążności, to wykorzystać w sposób świadomy i inteligentny znane prawo natury: że pewne siły przez ich użycie, względnie przez ich nieużycie, mogą się rozwijać, albo zaniknąć i wygasnąć" [2]). Przypowieść ewangeliczna o zmarnowanych, lub nieodpowiednio użytych talentach nie przestaje być aktualną.

Otóż nie każda jednostka poddaje się wpływom wychowania, nie w każdej udaje się rozwinąć charakter. Wyniki zabiegów wychowawczych zależą od tego, czy wychowawca odnalazł sprzymierzeńca naturalnego w dyspozycjach wychowanka bądź wrodzonych, bądź nabytych i czy potrafi je zużytkować dla zorganizowania jednolitości, znamionującej charakter.

Jeżeli w wychowanku brak dyspozycji, które możnaby przeciwstawić wybujałym popędom i uczuciom, sprzeciwiającym się trwałej jednokierunkowości postępowania, i które ułatwiłyby opanowanie całości, wychowanie charakteru staje się utrudnione.

---

[1]) J. de la Vaissière S. J. Psychologie pédagogique. Paris 1923, s. 282. G. Kerschensteiner, Charakter, jego pojęcie i wychowanie, s. 19—21. Fr. Baumgarten. O charakterze i jego kształceniu. Kwartalnik Psychologiczny, t. IX/3 Poznań 1937. s. 169—202.

[2]) Foerster Fr. W. Jugendlehre, 1923, s. 674.

Wychowanie nie osiąga niekiedy pożądanych wyników, bo nie znajduje punktów zaczepienia i oparcia w indywidualności wychowanka. W takich okolicznościach nieprzychylnych powstaje pytanie, czy należy zmierzać do tego, co nieosiągalne i czy nie należy poprzestać na tym, co się da osiągnąć. Jeżeli wpływanie na myślenie i chcenie jest daremne, nie pozostaje nic innego jak urabiać nawyki pożyteczne dla wychowanka i dla społeczeństwa, ale to należy uważać za minimum programu wychowawczego.

Bywają jednostki upośledzone pod względem inteligencji, żyjące raczej pamięcią do tego stopnia, że i myślenie znajduje się na usłudze przypominania i rozpoznawania; myślenie ich kopiuje cudze myśli i gotowe wzory gdzieś usłyszane, lub wyczytane. Spotyka się również osoby, których życie nie podlega kierownictwu woli i stanowi wypadkową przeróżnych prądów otoczenia. U takich jednostek, wyposażonych skromnie pod względem uzdolnień inteligencji i woli, wychowanie charakteru naraża się na niepowodzenie, bo zmierza do osiągnięcia rzeczy niemożliwych. Mając na uwadze braki zadatków niezbędnych dla charakteru, wypadnie ograniczyć się do urabiania nawyków myślowych i wolitywnych i nawyków odpowiedniego postępowania.

Rozumie się, iż zupełny brak uzdolnień inteligencji czy woli znamionuje jednostki upośledzone, niedorozwinięte, lub psychopatyczne. W stosunku do jednostek uzdolnionych pod względem inteligencji i woli tresura nawyków nie powinna zastępować właściwego wychowania charakteru.

Ponieważ zaś w konkretnych wypadkach spotykamy jednostki o bardzo nierównomiernych stopniach uzdolnienia czy to inteligencji, czy woli i o niejednakowej przewadze pamięci, zachodzą trudności co do metod i techniki wychowywania charakteru i co do tego, w jakich konkretnych okolicznościach należałoby poprzestać na wyrobieniu nawyków.

Odróżniliśmy w charakterze czynniki intelektualne i wolitywne, które są tak sprzęgnięte ze sobą, że sądy wydane według pewnych zasad wyznaczają chcenia, a chcenia idą po liniach wytkniętych przez sądy, nie odstępując od nich i realizując się w czynach.

Wychowanie charakteru rozkłada się więc na trzy częściowe zadania, mianowicie refleksyjne uświadomienie wychowankowi ogólnych zasad, którymi winien kierować się w życiu, wyrobienie umiejętności zgodnego z zasadami i trafnego sądzenia

o sytuacjach konkretnych postępowania i przygotowania woli wytrwałej, skutecznej, nie dającej się odwieść od zasad. Realizowanie tych zadań ma zmierzać do osiągnięcia całości, jaką jest osobowość wychowanka.

Zasady ogólne mające kierować życiem człowieka wyrażają naturalne prawo moralne, które każdemu człowiekowi wraz z naturą rozumną jest dane. Etyka wyjaśnia je i tłumaczy. Z tego widać, jaka rola wybitna przysługuje etyce w wychowaniu.

Technika wychowawcza nie może nie być podporządkowaną etyce, nie może abstrahować w konkretnym wvkonaniu, w praktyce od celów człowieka i od norm regulujących realizacje celów [1]).

5. SZTUKA SĄDZENIA I POSTĘPOWANIA

Nie wystarcza znać zasady, należy umieć je stosować i to prawidłowo i trafnie. Wychowanie ma doprowadzić wychowanka nie tylko do uświadomienia sobie zasad, lecz do umiejętności, do sztuki ich stosowania prawidłowego i trafnego tj. dopasowanego do sytuacyj realnych, napotykanych w życiu.

Człowiek niewdrożony do prawidłowego myślenia czyli konsekwencji gubi się, gdy mu przychodzi wydawać sądy praktyczne, dotyczące konkretnego postępowania zwłaszcza w wypadkach niepotocznych, niezwykłych; nie umie przejść od zasad ogólnych do sądów poszczególnych, wikła się w sprzecznościach, albo z obawy przed nimi powstrzymuje się od sądu jasnego i zdecydowanego. Taka nieudolność myślenia stoi na przeszkodzie do rozwoju charakteru; charakter bowiem wyklucza niekonsekwencję i zależność od przypadku.

Sądy praktyczne winny być nie tylko prawidłowo rozwinięte z zasad etycznych, lecz uwzględniać też różnorodne elementy napotykanych warunków, w których wypada człowiekowi działać. Sąd może być błędny nie dla braku logiki, lecz dla braku przystosowania do konkretnych sytuacyj. Zdarza się często, iż postawiony wobec pewnego zadania praktycznego człowiek snuje sądy i rozumowania, które jakby zdaleka i luźnie zacze-

---

[1]) Fr. Baumgarten. O charakterze i jego kształceniu s. 177. — G. Kerschensteiner. Charakter, jego pojęcie i wychowanie s. 175. — Fr. Foerster, Ingendseele-Bewegung-Ziele 1933. — St. Szuman, Pieter, Weryński. Psychologia światopoglądu młodzieży. Kraków 1933. — E. Rothacker, Schichten der Personlichkeit. Lipsk 1938.

piają o daną sytuację, i które nie są odpowiedzią przystosowaną do zawiłych trudności dostarczonych przez życie. Może zostały uchwycone niektóre szczegóły, i to nie najważniejsze, a może tylko ogólna postać sytuacji. Gdy należałoby uwzględniać jeszcze inne szczegóły i odpowiednio do tego zmieniać, poprawiać sądy i sprawdzać przypuszczenia, ludzie dają się niekiedy ponosić wyobraźni, która pracuje zwykle pod przemożnym wpływem popędów i uczuć; ulegają pośpiechowi, lub wrodzonej potrzebie działania i uważają swe sądy przypuszczalne, domyślne za zgodne z rzeczywistością i trafne. Ponieważ popęd do działania nagli i uczucia pociągają, uznaje się za prawdę to, czego się pragnie.

Stąd wychowanie spełnia jedno ze swych zadań, jeżeli wychowanek uczy się każdy sąd przez siebie wydany, lub skądinąd przyjęty, badać pod względem jego słuszności, jeżeli nauczy się powściągać z wydawaniem sądu, póki sprawa nie będzie wielostronnie i dostatecznie rozważona. Taka ostrożność w sądzeniu nazywa się k r y t y c y z m e m i przeciwstawia się naiwności. Ktoś trafnie powiedział, iż miarą inteligencji jest stopień lękliwości, a miarą głupoty — stopień śmiałości.

Umysł nauczony powściągliwości w wydawaniu sądów, wnikający w różne szczegóły, których pominięcie zmieniłoby postać rzeczy i przewidujący wyniki możliwe z powziętych sądów, posiada warunki do tego, by sądzić konsekwentnie i trafnie.

6. WOLA I MOTYWACJA

Nie mniej ważnym elementem charakteru, niż zdolność konsekwentnego sądzenia, które zarazem ma być trafne, jest zdolność stanowczego i wytrwałego chcenia, tj. silna wola. Nie podobna wychować charakteru dodatniego, nie wychowując silnej woli.

Należy się wyzbyć przedstawiania sobie intelektu i woli na sposób rywalizujących ze sobą sąsiadów, jeden obok drugiego. Właśnie takie poglądowe przedstawienie budzi urojone zagadnienia i sprzyja błędnym mniemaniom o silnej woli.

Pogarsza się sytuacja jeszcze bardziej przez to, że nie mówiąc o potocznym myśleniu, nawet niektórzy psychologowie i pedagogowie nazywają wolą popędy, instynkty i w ogóle przejawy czynnościowe. Wśród takiego zamętu łatwo o nieporozumienia. Mówi się często o różnych przedmiotach pod jedną nazwą

„wola“ i stawia się narówni odruchy czy refleksy i pożądania wywołane i określone przez sądy [1]).

Przez akty woli w sensie właściwym, wąskim, rozumieć należy dążenia rozumne, które scholastycy krótko nazywali „appetitus rationalis“. Badania eksperymentalne przemawiają za słusznością tej definicji [2]). Dążenie zasługuje na nazwę aktu woli o tyle, o ile jest wywołane nie wprost przez przedmiot, ani też przez spostrzeżenia, lub wyobrażenia, lecz zostaje wyznaczone przez sądy praktyczne, tj. dotyczące działania konkretnego. Jeżeli jakiś sąd praktyczny wartościuje, ocenia sytuację lub postępowanie jako godne pożądania, chcenia, to dzieje się to w postaci rozumowania, w którym dochodzi się myślowo do nowego sądu i wybiera się go na podstawie innych sądów przesłankowych. To przechodzenie od sądów przesłankowych, czyli motywujących wybór, do sądu zamykającego, decydującego o wyborze może rozciągać się w czasie, a może być też tak ściągnięte, skrócone, iż robi wrażenie, że odbywa się nagle, bez rozważania, intuicyjnie [3]).

Akt woli formuje się, konstytuuje się zatem przez a u t o d e t e r m i n a c j ę, gdyż my wybieramy sąd, wyznaczający kierunek, determinujący cel dążenia; dążymy, chcemy zaś, o ile poddajemy się zdeterminowaniu przez sąd wybrany wśród wielu możliwych sądów. Sądy praktyczne, wartościujące, przemawiające za dobrocią lub złością, za korzystnością lub szkodliwością stanowią właściwe motywy aktów wyborczych woli [4]). Akt woli zjawia się wtedy jako następstwo motywów i dążenia.

Siła woli przejawia się w wytrwałości i niezłomności [5]). Akty dążeniowe, powstające pod wpływem wybuchowych popędów, lub namiętności, nie posiadają zalet silnej woli, bo łatwo ustają, wystarczy, aby wytknięty cel zeszedł z pola uwagi, lub został przysłonięty innymi przedstawieniami, gdy wchodzą w grę inne popędy i wzruszenia.

---

[1]) J. Geyser, Lehrbuch der allgemeinen Psychologie. Münster 1920, t. II. s. 483 i nast.

[2]) N. Ach. Ueber den Willensakt und das Temperament, Lipsk 1910. L. Lindworsky S. J. Der Wille. Lipsk 1923.

[3]) N. Ach. Ueber den Willensakt und das Temperament. Lipsk 1910; Die Analyse des Willens. Berlin 1935.

[4]) J. Lindworsky, Der Wille, s. 206—214. Motywy woli należy odróżniać od przyczyn. Porów. też Experimentelle Psychologie 1922, s. 224, nast.

[5]) G. Kerschensteiner. Charakter, str. 83, 85.

Tego rodzaju dążenia zjawiają się wraz z wyobrażeniami, z którymi łączą się zazwyczaj uczucia i popędy. Dla ścisłości należy je nazywać pożądaniami. Gdyby w świadomości nurtowało jedno tylko pożądanie i wyobrażenie o jednym przedmiocie, ruchy, czyny realizujące pożądanie, stałyby się koniecznym następstwem. Zazwyczaj u człowieka rozwiniętego i w normalnych warunkach rywalizują różne wyobrażenia i sądy wartościujące, stąd ścierają się rozmaite pożądania tak, że otamowują się nawzajem. Człowiek przechodzi tedy okres wahania się i zastanawiania. Tu otwiera się pole do wybierania, do decyzji pójścia raczej za tym pożądaniem, niż za innym. Wybieranie, i to pod wpływem sądów motywujących, rozumowo zważonych, tj. porównanych i osądzonych, stanowi istotną funkcję woli [1]). Sądy motywujące mogą posiadać tło uczuciowo dodatnie lub ujemne, co może sprzyjać motywacji lub ją utrudniać. Skoro akty woli polegają na wybieraniu zakończonym decyzją, to siła woli mierzyć się będzie w stosunku do wartości motywów [2]).

Akt woli wykaże wytrwałość i niezłomność, jeżeli motywy, które wpłynęły na wybór, na decyzję, utrzymują się ciągle w mocy. Są one niezbędne nie tylko do powstania, ale i do trwania aktu woli, do jego perseweracji. Potrzeba motywów wzmaga się, gdy chodzi o wolę skuteczną, nie poprzestającą na postanowieniu tylko, lecz uwydatniającą się w czynach. Wszak o taką silną wolę chodzi przy wychowaniu charakteru.

Wybór zdecydowany może nastąpić pod wpływem sądu wartościującego, ale podyktowanego chwilowym zapałem, silnym wzruszeniem jakiejś nadziei, może ambicji, lub wreszcie strachu. Gdy zapał ostygnie i wzruszenie zniknie, ów sąd przestanie być motywem nadal działającym, i postanowienie woli nie zamieni się w czyn, a nawet stopniowo przechodzi w niepamięć.

Od postanowienia do wykonania prowadzi najczęściej mozolna droga: łatwo powstaje znużenie, zjawiają się inne motywy, odwodzące od pierwszego postanowienia, popędy przeciwne, ale silniejsze i łatwiejsze do zaspokojenia, tak, że grozi niebezpieczeństwo ugięcia i załamania się woli.

---

[1]) S. Thomas, De Veritate q. 24 a 1, a 2. „tota ratio libertatis ex modo cognitionis dependet. Appetitus enim cognitionem sequitur"; Sum. theolog. I. q. 83, a 1, ad. 3-um.

[2]) J. Lindworsky, Die Erfolgreiche Erziehung. Freiburg R. 1933. M. Kreutz. Kształcenie charakteru, Warszawa 1946 r.

7. SIŁA WOLI I PIELĘGNOWANIE MOTYWÓW

„Chcenie“ nie umotywowane, decyzja bez rozwagi, jest uporem, który ma jedynie pozory silnej woli, ale nią nie jest. Do tych pozorów uciekają się ludzie słabej woli, by pokryć swą słabość.

Z tego widać, iż wychowanie silnej woli zakłada pielęgnowanie motywów, któreby wolę pobudzały, utrzymywały przy raz powziętym postanowieniu i doprowadzały do czynów.

Wrażliwość człowieka na motywy pierwotne stopniowo słabnie, tępieje. Jest to ogólna właściwość wszelkich zjawisk świadomości.

Cała umiejętność i sztuka wychowania polega na tym, by te słabnące motywy potrafić wzmocnić, ożywić i zapewnić im przewagę, lub zastąpić je motywami równoważnymi, tak by wola od wyznaczonego sobie celu nie zbaczała i odeń się nie odrywała.

Pielęgnowanie motywów stanowi zatem nieodzowny warunek tak do powstania jak i do trwania aktu woli i jego skuteczności. Musi ono odpowiadać wymaganiom rozumu i potrzebom serca. Należy się przy tym wystrzegać jednostronności zarówno w kierunku intelektualizmu jak i w kierunku sentymentalności i uwzględniać indywidualne właściwości wychowanka intelektualne i afektywne.

Wpływ motywów ulega wahaniom i zmienności, zależnie od wieku wychowanka i jego kręgu myślowego, zależnie od płci i temperamentu. W dzieciństwie działają silnie pewne motywy, np. kara, obietnice, które później młodzieńca lub dorosłego nie są w stanie pobudzić, i odwrotnie. Motywy skuteczne dla danej jednostki, bywają bezskuteczne w stosunku do drugiej. Zdolność pobudzania zależy nie tyle od obiektywnej wartości motywów, ile od tego, jaki odzew znajdują one w usposobieniu człowieka. Słowem, wychowawca powinien, jak się mówi, umieć trafić do przekonania wychowanka. To znaczy liczyć się z jego indywidualnymi właściwościami [1], z jego uzdolnieniami, zainteresowaniami i skłonnościami; to znaczy umieć się wczuć w jego świat i wpleść w jego siatkę motywy.

Rzadko się zdarza, aby jeden tylko motyw samotnie pobudzał wolę. Przy wyborze wahamy się, biorąc pod uwagę raz te,

---

[1]) J. Lindworsky, Der Wille s. 235, 236.

drugi raz inne motywy, aż wreszcie jakiś motyw przeważy nad innymi, i najwięcej się uwypukli. Towarzyszą mu zwykle jeszcze motywy drugorzędne, wspierające.

Stąd, jeżeli się pragnie wychować silną wolę, należy tak dobierać motywy, aby się one nawzajem wzmacniały i aby nowe się tliły, rozwijały, gdy stare gasną. Siła woli uwydatnia się w walce wewnętrznej człowieka z popędami i zachciankami, powstającymi pod działaniem podniet chwilowych i motywów przygodnych, którym należy przeciwstawić motywy o doniosłości niechwilowej i nieprzygodnej, wyrażające wartości nie tylko w stosunku do danego momentu, lecz i do całokształtu życia jednostki.

Motyw występujący nie sam, lecz w systematycznym związku z innymi, w organicznym kontekście, pobudza z większą energią, ma zabezpieczone boki i tyły. Wola znajduje wtedy trwalsze oparcie, nie podlega wahaniom, bo dostęp motywów przeciwnych jest zahamowany i siła motywów aktualnych uwydatniona.

Motywy czysto abstrakcyjne są martwe w porównaniu z motywami otoczonymi ciepłem uczuciowym, bo nie pobudzają woli do działania lub pobudzają bardzo słabo. Jeżeli spotyka się rozdźwięk między uznawanymi sądami a praktyką życia, tłumaczy się to najczęściej tym, że sądy są zamknięte w sferze oderwanych przedstawień i że nie zdołały wzniecić uczuć i wzruszeń tak żywych, jakie budzą niekiedy wrażenia życia konkretnego. Aby więc zasady i sądy wpajane przez wychowawcę stały się faktycznie motywami chcenia i postępowania wychowanka, należy rozniecić wraz z nimi żar uczucia, czyli nadać im akcent uczuciowy, sprzyjający działaniu [1]). Uczucia nie powinny jednak być rozdmuchiwane do tego stopnia, by zastępowały motywy rozumne przy wychowywaniu woli. Tego rodzaju metody nie godziłyby się z pojęciem woli jako pożądania rozumowego i spychałyby ją do funkcyj zwykłych popędów i pożądań i degradowałyby osobowość człowieka.

Pielęgnowanie uczuciowych elementów nadmierne i kosztem motywów rozumowych, mijałoby się z celem głównym; zamiast kształcić silną wolę, wzbudzałoby mocne popędy i namiętne dążenia i narażałoby na zmienność cechującą życie uczuciowe.

---

[1]) J. Payot, Kształcenie woli (tłum. z franc.) Warszawa, 1910. Pascal powiedział: „Serce ma swoje racje, których rozum nie zna".

Rezygnację z pielęgnowania rozumowych motywów możnaby usprawiedliwić jedynie w tych okolicznościach, gdyby się wiedziało, że wychowanek jest rozumowo tępy i nieprzystępny motywom rozumowym, lub że z temperamentu będąc typem przesadnie sentymentalnym, ulega motywom nacechowanym wybitnie uczuciowo. Zdarza się to u dzieci i u kobiet częściej niż u mężczyzn. Elementy uczuciowe są na miejscu, gdy wzmacniają motywy rozumowe ale nie zastępują.

Do jakiego stopnia elementy uczuciowe wzmacniają wpływ motywów stwierdzają fakty, że samo rozumienie, co dobre, a co złe, co korzystne a co szkodliwe, i że chłodne, aczkolwiek trafne, sądy praktyczne nie zawsze są mocne skłonić do postanowienia i działania, lub też powstrzymać od niego.

Mamy przykłady na pijaku, lub hazardowym graczu, który wie, że postępuje źle, rozumie szkody materialne i moralne, a jednak mimo wszystko stacza się coraz bardziej, grzęznąc w trzęsawisku niskich popędów i nawyków. Może zdobywa się na postanowienia wydźwignięcia się z opłakanego stanu, ale brak energii, przy najbliższej okazji, lub natarczywej pokusie, postanowienia przestają działać, bo motywy rozumne przechodzą w zapomnienie, ulegają przytłumieniu przez inne doraźne pobudki i zaciągnięte nawyki nacechowane przyjemnie. Dopiero przesyt i odraza do nałogowego trybu życia, połączone z jakimś silniejszym wzruszeniem, sprawiają, że motywy rozumowe uwydatniają się lepiej i poczynają nie tylko przyświecać, ale działać.

By zapewnić aktom woli trwałość i niezłomność, i by umożliwić im skuteczność, należy pielęgnować motywy rozumowe, dbając przy tym o ich uwznioślenie, o wyposażenie ich żywym akcentem uczuciowym. Czysto rozumowe przedstawienia, czy sądy, wystarczają w chłodnych dyskusjach teoretycznych. W życiu praktycznym, gdy trzeba się zmagać z popędami i namiętnościami, potrzeba motywów owianych uczuciem, czyli uwznioślonych. Światopogląd religijny najlepiej do takiego uwznioślenia motywów służy.

Piśmiennictwo nowoczesne o kształceniu woli, cierpi na jeden główny brak, a mianowicie nie docenia konieczności uduchowienia woli ludzkiej, gdy tymczasem podnosi nadmiernie korzyści gimnastykowania praktycznego tej władzy. Oddziela się funkcję woli od całokształtu życia duszy, przepisując specjalne zabiegi dla woli, pragnąc wytworzyć akrobatów woli, a zapomina się o tym, że prawdziwe wychowanie tej władzy

uskutecznić można nie tyle przez odosobnione ćwiczenie bezpośrednio centrów motorycznych, jak raczej przez rozwój całej duszy oraz przez ześrodkowanie wszystkich jej zdolności dokoła wzniosłych prawd" [1]).

Nawyki tworzą się w następstwie powtarzających się aktów myśli, woli, lub ruchu zewnętrznego. Otóż pierwszy akt woli, zanim nastąpiły powtórzenia i utworzyło się przyzwyczajenie, powstał jako ustalenie wyboru pod wpływem rozwagi motywów. Stąd dla wychowania silnej woli samo wyrabianie nawyków nie posiada doniosłości, o ile mu bark podbudowy, mianowicie kultury motywów [2]).

Wychowanie rozumiane jako rozwijanie zdolności konsekwentnego sądzenia, które ma dostarczać motywów i jako rozwijanie zdolności trwałej i niezłomnej woli, nie może się odbywać bez czynnego udziału wychowanka, czyli bez samowychowania [3]).

Nie będzie przesadą, gdy powiemy, iż wychowanie tym się różni od tresury nawyków, iż brak w niej samowychowania. Wychowanie natomiast we właściwym znaczeniu rozpoczyna się i postępuje wraz z samowychowaniem, mianowicie, gdy wciąga się wychowanka do pracy świadomej nad samym sobą. Wychowanek sam musi stwarzać sobie charakter drogą wysiłków i ciągłego pokonywania oporów wewnętrznych, napotykanych w sobie samym w postaci popędów i skłonności, jak również oporów zewnętrznych, stawianych przez sytuacje fizyczne i społeczne. W miarę jak wychowanek rozwija się i dojrzewa psychicznie, tworzy sobie jakiś ideał rzutując obraz wymarzony własnej osobowości, jaką uważa za swą p o w i n n o ś ć do urzeczywistnienia. Tworzenie ideału dzieje się nie bez wpływu środowiska i czynników wychowania, podobnie jak i urzeczywistnienie idealnej osobowości. Ten wpływ jest nieunikniony. Chodzi jednak o to, by te wpływy nie doprowadziły do bierności w postawie wychowanka, lecz by on sam czynnie własnym rozumem i własną wolą z materiału swej indywidualności i temperamentu budował, formował swą osobowość. Wtedy wychowanie idzie w parze z samowychowaniem.

Ks. Piotr Chojnacki

---

[1]) F. W. Foerster, Szkoła i charakter 1922. 144, 145.

[2]) J. Lindworsky, Der Wille s. 242.

[3]) Fr. W. Foerster. Wychowanie i samowychowanie. 1934.

KS. ANDRZEJ BARDECKI

TYPY POWOŁANIA KAPŁAŃSKIEGO

Pojęcia „powołanie kapłańskie“ [1]) używa się zwykle w dwojakim znaczeniu: 1) na określenie pewnego momentu, którego bliższe okoliczności dadzą się niejednokrotnie dokładnie ustalić, oraz 2) pewnego stanu, który ma charakter zasadniczo stały.

Jeżeli pierwsze pojęcie powołania kapłańskiego można by określić mianem „actus“, to drugie należałoby ująć jako „habitus“.

Na podstawie materiału, jaki zdołałem zebrać, wydaje mi się, że powołanie kapłańskie, rozważane jako „habitus“, jest pewnego rodzaju „syntezą“ elementu nadprzyrodzonego i elementu psychologicznego; jest pewnym „procesem“, w którym bierze udział i wola Boża i wola ludzka. Ów element ludzki objawia się jako stała i wyraźna skłonność woli do wykonywania funkcji kapłańskich. Skłonność ta jest mniej lub więcej umotywowana, a w początkowej swej fazie przeważnie irracjonalna. Zdarzają się często wypadki, kiedy powołanie już właściwie istnieje, ale podmiot nie uświadamia sobie jeszcze tego faktu. Zjawisko to nazwałem „okresem latencji“ powołania.

Z kolei należałoby postawić pytanie: czy jest rzeczą możliwą badać zjawisko powołania kapłańskiego, jako jeden z przejawów życia religijnego? Czy nie wymyka się to spod praw psychologicznych, jako coś, co z istoty swej jest dziełem łaski Bożej? Oczywiście, że nie ma możliwości wyjaśnienia zjawiska powołania kapłańskiego w całości, gdyż obejmuje ono i stronę nadprzyrodzoną. Znane twierdzenie św. Tomasza: „Łaska nie znosi natury, lecz opiera się na niej i udoskonala ją“, uzasadnia badanie psychologiczne przeżyć religijnych. Działanie łaski

---

[1]) Artykuł niniejszy jest streszczeniem jednego z rozdziałów rozprawy p. t.: „Psychologia powołania kapłańskiego“.

Bożej wywołuje bowiem realne skutki psychiczne, przede wszystkim w formie poruszeń woli i oświeceń intelektu. Te fenomeny zaś, przynajmniej w pewnych wypadkach, mogą się stać obiektem bezpośredniego psychologicznego badania dzięki introspekcji. Należy jednak pamiętać, że duszy naszej, w której działa Łaska, bezpośrednio nie oglądamy. Stąd nie mamy możliwości stwierdzić, czy dobre poruszenia, które się w nas rodzą, pochodzą od czynnika nadprzyrodzonego, czy też mają swe źródło w naturze.

Jeżeli chodzi o możliwość zebrania dostatecznej ilości odpowiedniego materiału, odnoszącego się do przeżyć związanych z powołaniem kapłańskim, to sprawa ta nastręczała mi poważne trudności. Potrzebne były bowiem odpowiednie pamiętniki, ale konieczną okazała się i ankieta, która stanowi uzupełnienie dla celów statystycznych.

Ponieważ nie mogłem mieć do dyspozycji tego rodzaju pamiętników alumnów, wzgl. księży, przedstawiających powstanie i kształtowanie się swego powołania, postanowiłem posłużyć się ankietą w formie kwestionariusza, która w pewnej swej części przybrałaby postać nie tyle pamiętnika, ile raczej wspomnień.

Ankieta ta zawierała 36 pytań dotyczących: a) środowiska, w jakim przebywał alumn przed wstąpieniem do seminarium duchownego; b) jego przeżyć związanych z powstaniem i kształtowaniem się powołania oraz c) bliższych okoliczności towarzyszących ostatecznej decyzji po maturze poświęcenia się służbie Bożej. W skład ankiety została włączona krótka instrukcja dotycząca anonimowości i sposobu wypełniania kwestionariusza.

Rozesłanie ankiety do wszystkich Wyższych Zakładów Teologicznych w Polsce pod „firmą" Wydziału Teologicznego U. J. wraz z odpowiednim pismem Ks. Dziekana Klawka, skierowanym do XX. Rektorów, odniosło pożądany skutek. W przeciągu trzech miesięcy nadeszło 873 odpowiedzi ze wszystkich niemal Seminariów Duchownych w Polsce.

Nie mogę przytaczać tutaj argumentów na rzecz zgodności z prawdą i szczerości wypowiedzi alumnów, gdyż to zajęłoby zbyt wiele miejsca [2]). Szereg danych przemawia jednak za tym,

---

[2]) Zagadnienie to zostało szczegółowo omówione w artykule p. t.: „Ankieta w sprawie psychologii powołania kapłańskiego" (Polonia Sacra, 3, 1951).

że alumni posiadali sprzyjające warunki do poznania swoich przeżyć związanych z powołaniem kapłańskim oraz mogli te przeżycia szczerze przedstawić.

Kiedy rozsyłałem ankietę, przypuszczałem, że zagadnienie psychologii powołania kapłańskiego zostało już w pewnej formie opracowane w kraju lub za granicą. Niestety, dotychczasowe usilne poszukiwania każą mi przypuszczać, że ani w kraju ani za granicą nie ukazała się dotychczas żadna publikacja na ten temat, oparta na wyznaniach alumnów lub kapłanów.

Wobec tego jedynym właściwym źródłem, na którym się mogłem oprzeć w niniejszej pracy, była ankieta. Zawierała ona materiał obszerny, bo obejmujący blisko 3500 stron rękopisu in folio. Był to materiał zupełnie „surowy", ale niezwykle cenny, bo pochodzący z „pierwszej ręki".

W spisie literatury pomocniczej figurują życiorysy świętych kapłanów oraz współczesne powieści o księżach. Niestety, moje nadzieje na szersze wykorzystanie tego działu literatury pomocniczej okazały się płonne. Po przeglądnięciu blisko pięćdziesięciu życiorysów, zaledwie w kilkunastu z nich napotkałem na bardzo krótkie wzmianki o przeżyciach świętych, związanych z ich powołaniem kapłańskim.

Jeśli chodzi o powieści o księżach, należy stwierdzić, że zainteresowanie postacią duchownego jest tak znamienne dla współczesnej beletrystyki, że jedna z publicystek nie wahała się nazwać księdza „primadonną współczesnej powieści katolickiej na Zachodzie" [3]). Uwzględnienie przeżyć bohaterów tych powieści, związanych z ich powołaniem kapłańskim, przedstawia się jednak podobnie, jak w wspomnianych życiorysach świętych.

Kiedy rozpocząłem studium niniejszej ankiety i ze wzrastającym zainteresowaniem zagłębiałem się w wynurzenia alumnów, zauważyłem, że w wypowiedziach tych zaczynają się pojawiać pewne symptomatyczne cechy.

To zjawisko nasunęło mi przypuszczenie możliwości istnienia pewnych typów powołania. Ostatecznie wyodrębniłem siedem typów powołania kapłańskiego, a ściślej biorąc sześć. Przy tworzeniu tej typologii wziąłem pod uwagę różnice najwięcej mówiące, a mianowicie strukturę elementu psychologicznego powołania. Jest ona w każdym typie odmienna.

---

[3]) Winowska M. Art. „Wszystka Jej chwała od wewnątrz", Tyg. Powsz. 20. 11, 1949.

I TYP: HARMONIJNY (CHŁOPIĘCY)

(35%)

Przeciętny rok życia alumnów, w którym nastąpiło uświadomienie sobie pragnienia zostania kapłanem po raz pierwszy w życiu, wynosi dla tego typu 9 lat. Wcześnie więc wezwał ich Bóg do swojej służby.

Bp. Stockums nazywa takich chłopców „urodzonymi seminarzystami“ [4]).

U znacznej większości alumnów, należących do tego typu, można stwierdzić wspomniany już „okres latencji“ powołania.

Typ ten nazwałem „harmonijnym“, ponieważ element psychologiczny powołania znajduje się w harmonii z jego elementem nadprzyrodzonym. Młody człowiek chętnie i z radością podąża za głosem Bożym, zestrajając swoją wolę z wolą Chrystusa. Typ ten określiłem bliżej jako „chłopięcy“, z uwagi na to, że moment uświadomienia sobie powołania ma miejsce pomiędzy 7 a 13 rokiem życia, w odróżnieniu od typu harmonijnego „młodzieńczego“, o którym niżej będzie mowa.

Obecnie przytoczę kilka charakterystycznych wypowiedzi alumnów, ilustrujących rozmaite odmiany pierwszego typu powołania.

„Już od dziecinnych lat wyraźny wewnętrzny głos „szeptał“ mi, że będę księdzem. Nie było to jednak moje pragnienie, lecz coś „prześladującego“ mnie. Jako mały chłopiec, byłem świadkiem pożaru. Widok spalonej kobiety, z poronionym płodem obok niej, sprawił na mnie wstrząsające wrażenie i wówczas już — choć dziecinnym jeszcze umysłem — pojąłem marność i znikomość życia. Wtedy postanowiłem poświęcić się służbie Bożej i temu postanowieniu nigdy się nie sprzeniewierzyłem. Zresztą wszędzie towarzyszył mi głos wewnętrzny mego powołania. Z początku wyobrażałem sobie, że przez całe życie będę nieszczęśliwy, ale nie widziałem innego wyjścia z tej sytuacji. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że nigdzie na świecie niczego nie znajdę, co by mogło mnie uspokoić i przygłuszyć tamto wołanie. Zresztą w tym dziele mego powołania najmniej jest mojej zasługi... [5])

[4]) Stockums W., Der Beruf zum Priestertum, Freiburg in Breisgau, 1934, 68

[5]) A. 356, 29 — W ten sposób będę w dalszym ciągu oznaczał odnośne cytaty z ankiety. A(nkieta); pierwsza cyfra oznacza numer kolejny ankiety, a następna cyfra — numer pytania.

„Zagadnienie mego pragnienia zostania kapłanem jest tak dawne, jak daleko sięga moja świadomość. Już od wczesnego dzieciństwa pragnąłem znajdować się blisko ołtarza. Dlatego prawie codziennie służyłem do mszy św., a często nawet do kilku, szczególnie w czasie wakacji. Służąc do tylu mszy św. nie czułem zmęczenia, lecz przeciwnie, jak sobie przypominam, było mi dobrze i lekko. I tak z dnia na dzień upływał czas. Ja zaś, będąc już starszvm i należąc do dobrze zorganizowanego Koła Ministrantów, utwierdzałem się coraz bardziej w swym zamiarze zostania kapłanem“ [6]).

„Pierwszy raz odczułem głos powołania w 13 roku życia, kiedy słuchałem nauk głoszonych przez OO. Redemptorystów na temat rzeczy ostatecznych. W świetle tych nauk, chociaż byłem jeszcze małym chłopcem, uświadomiłem sobie jasno sens życia. To był pierwszy etap mego powołania. Misje te przeżyłem bardzo głęboko. Nie widząc narazie dla siebie możliwości, abym mógł wstąpić na drogę wiodącą do kapłaństwa (mam na myśli szkołę średnią), zatrzymałem dla siebie tylko to wielkie pragnienie. Myślałem o tym, aby się zgłosić do jakiegoś księdza z prośbą o radę lub pomoc. Wstrzymałem się jednak. Nie byłem bowiem pewien, czy jest to głos powołania, czy chwilowy nastrój, zależny od okoliczności. Tego samego roku wybuchła wojna. Myśl, która wtedy odezwała się, nurtowała we mnie coraz częściej i wyraźniej. Przed nikim się jednak z tego nie zwierzałem...“ [7])

Do typu „harmonijnego (chłopięcego)“ należy 35% alumnów. Jest to procentowo najliczniejsza grupa. Z chłopców tego typu powołania rekrutują się głównie wychowankowie niższych seminariów duchownych.

Na podstawie lektury życiorysów świętych kapłanów doszedłem do przekonania, że ten typ stosunkowo często można i tam spotkać.

Do tego typu można by zaliczyć m. in. św. Franciszka Salezego, św. Jozafata Kuncewicza, O. Bernarda Łubieńskiego oraz bł. Piusa X i Piusa XI.

Jeśli chodzi o powieści o księżach, to należy wymienić brata Sadoka, bohatera „W cieniu kolegiaty“. „Sadok jako dziecko już wybrał sobie ideał kapłana chrześcijańskiego, choć dom mu w tym nie pomagał“ [8]).

[6]) A. 756, 29.
[7]) A. 782, 29.
[8]) Grabski Wł. W cieniu kolegiaty. Poznań 1949. 49.

II TYP: HARMONIJNY (MŁODZIEŃCZY)
(23%)

Drugi typ nazwałem też „harmonijnym", a określenie zawarte w nawiasie, a mian. „młodzieńczy", wskazuje na to, co odróżnia go od typu I. Oto w typie II moment uświadomienia sobie powołania znajduje się między 13 a 19 rokiem życia, a więc w okresie, który psychologia zowie młodzieńczym.

A. Dryjski charakteryzując okres pokwitania pisze: „Wśród zaburzeń sfery uczuciowej wieku omawianego wysuwają się na czoło następujące zmiany: podniecenie ogólne i depresja, oscylacja uczuciowa, nieokreśloność życzeń i nastrojów, skłonność do konfliktów z otoczeniem i że samym sobą.

Czasami jednak zdarza się — kontynuuje swe wywody Dryjski — że właśnie panują wręcz odmienne stosunki: fazę krytyczną znamionuje nastrój pogodny i w ogóle dyspozycje o charakterze pozytywnym. Zjawisko powyższe występuje ze szczególną wyrazistością np. w sferze życia religijnego" [9]).

Podobne zdanie wypowiada St. Baley: „Pobudliwość uczuciowa i fantazja, charakterystyczna dla tego okresu, a połączona z tendencją wgłębiania się we własne przeżycia, stwarza grunt bardzo podatny do kultywowania przeżyć religijnych" [10]).

U alumnów należących do drugiego typu zaistniała prawdopodobnie sytuacja psychiczna podobna do wyżej przedstawionych. W tym okresie, kiedy inni przeżywają kryzys religijny, u nich obserwujemy właśnie wzmożony proces przeżyć religijnych i uświadomienie sobie na takim tle powołania. Moment ten przypada, jeśli się weźmie pod uwagę przeciętną, na 16 rok życia.

A oto wypowiedzi alumnów należących do II typu:

„Kiedy miałem 15 lat, nie otrzymałem promocji do następnej klasy. Ten cios wstrząsnął mną dogłębnie. Zerwałem z życiem „urwisowskim" i zacząłem być poważnym. Jedyną moją pociechą stał się kościół i tutaj doznawałem ukojenia. Odbyłem wtedy spowiedź i wyjawiłem swoje zamiary zostania księdzem. Odtąd zmieniłem się i całym wysiłkiem woli starałem się dążyć do celu. Zamiar ten częściowo nawet objawiałem kolegom" [11]).

---

9) Dryjski A., Zagadnienie seksualizmu, Warszawa 1934, 164.
10) Baley St., Psychologia wieku dojrzewania, Lwów — Warszawa 1932, 212.
11) A. 171, 29.

„Gdy byłem małym chłopcem, uczęszczałem do kościoła, bo tak kazali mi rodzice. Później zacząłem rozmyślać nad zagadnieniami religijnymi. Wtedy w czasie lektury religijnej przychodziła mi nieraz myśl zostania księdzem. Podobało mi się życie misjonarzy i pociągało mnie pełne poświęcenia życie pierwszych chrześcijan. Zapaliłem się do pracy dla Chrystusa. W moją duszę wraziły się głęboko słowa: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało". Nie pamiętam dokładnie, ile miałem wtedy lat — mniej więcej 14—16" [12]).

Do typu „harmonijnego - młodzieńczego" można by zaliczyć prawdopodobnie O. Mariana Morawskiego T. J. i św. Piotra Klawera. Bohater powieści Marshalla („Chwała córy królewskiej"), ks. Smith i druga główna postać, Józef Scott, późniejszy biskup, należą, jak można sądzić, również do tego typu powołania.

III TYP: ENDOGENICZNY
(21%)

Według „Słownika wyrazów obcych" M. Arcta wyrażenie „endogeniczny" oznacza: „rosnący wewnątrz", „pochodzący z wewnątrz" [13]).

Sądzę, że nazwa ta uwypukla najbardziej charakterystyczną cechę elementu psychologicznego, jaką znajdujemy w wynurzeniach alumnów, należących do tego typu. Oto mamy tutaj do czynienia prawie zawsze z wyraźnym i długotrwałym „okresem latencji" powołania.

Jeśli chodzi o przeciętny rok życia, w którym nastąpiło uświadomienie sobie powołania, to jest on w porównaniu z poprzednimi typami dość późny, wyraża się bowiem cyfrą: 21.

Jako dolną granicę wieku uświadomienia sobie powołania w tym typie, przyjąłem dwudziesty rok życia, ponieważ do 19 roku życia trwa okres młodzieńczy. Chodzi więc w tym typie o ludzi zasadniczo już dojrzałych.

Jeśli chodzi natomiast o górną granicę wieku w tym typie, to nie określam jej dokładnie, bo na podstawie ankiety nie można było nic pewnego powiedzieć na ten temat.

Wśród 873 odpowiedzi w każdym razie nie spotkałem wypadku, aby uświadomienie sobie powołania nastąpiło po 30 ro-

[12]) A. 199, 29.
[13]) Arct M., Słownik wyrazów obcych, Warszawa 1946, 73.

ku życia. Niewątpliwie jednak istnieją wypadki „późnego" wzgl. „spóźnionego" powołania.

Inną charakterystyczną cechą przeżyć psychicznych alumnów, których zaliczyłem do tego typu, jest zjawisko „nawrócenia" [14]).

Oto prawie każdy z tych alumnów przeszedł głęboką ewolucję duchową. Dokonywała się ona jednak powoli i nie pod wpływem jakichś bardziej widocznych czynników zewnętrznych. U ludzi należących do tego typu obserwujemy równocześnie niemal dwa procesy, a mianowicie: rozpad jednej syntezy psychicznej, obojętnej dla zagadnień religijnych, związanych z kapłaństwem i stopniowe narastanie drugiej syntezy psychicznej przychylnej powołaniu kapłańskiemu. Mówiąc więc obrazowo możnaby stwierdzić, że „stary człowiek" nie znika pewnego dnia, a na jego miejsce zjawia się „nowy człowiek", lecz przez dłuższy czas „przebywają oni obok siebie i walczą ze sobą".

Te charakterystyczne cechy typu endogenicznego ukażą się w rozmaitych odmianach w formie konkretnych wypowiedzi:

„W 23 roku życia, zaraz po złożeniu matury, zastanawiałem się głęboko nad swoją przyszłością. Wiele sobie obiecywałem po życiu. Moim marzeniem, od najmłodszych lat, było zostać inżynierem-leśnikiem. Chciałem poznać świat i ludzi. Szukałem szczęścia... Rzuciłem się w wir życia z myślą, że tam znajdę szczęście. Pracą rąk zdobyłem mały „mająteczek"; podbiłem wiele serc niewieścich; doszło do grzesznej miłości. Myślałem, że jestem szczęśliwy... niestety! — Były to tylko złudzenia. W chwilach, kiedy mi niczego nie brakowało, przychodziły jakieś „dziwne" myśli, które wszystko „przewracały", nakazując mi zastanawiać się nad życiem, nad jego znikomością i przewrotnością. Były też momenty, w których odwracałem się z obrzydzeniem od wszelkiego używania; ziemia stawała się dla mnie wstrętną kałużą błota, a życie niewypowiedzianym ciężarem. Jakieś okropne rozczarowanie dręczyło duszę, szarpały mną uczucia rozgoryczenia. Szukałem szczęścia, ale nie znalazłem go... Zacząłem czytać książki treści religijnej. Postanowiłem zerwać z dotychczasowym życiem, poświęcić się służbie Bożej i zostać kapłanem" [15]).

14) Słowo to piszę w cudzysłowie, ponieważ nie chodzi tutaj o formalną konwersję, ile raczej o to, że człowiek wierzący zmienia tylko swe dotychczasowe „światowe" zainteresowania i tryb życia.

15) A. 633. 29

„W młodości nie miałem jeszcze wyraźnego pragnienia zostania księdzem, chociaż rodzice i znajomi rokowali mi kapłaństwo. Decyzja wstąpienia do seminarium nastąpiła w 23 roku życia po dwuletniej rozterce. Już podczas wojny, kiedy zabrano mi możność uczenia się, nurtowała we mnie myśl, aby odgrodzić się od świata i poświęcić Bogu... Gdy byłem na uniwersytecie szukałem kogoś takiego jak ja, ale niestety wszyscy byli jakoś inaczej wpleceni w życie. Szukałem chwil osamotnienia w kościele, który grubym murem odgradzał spokój od wielkomiejskiej wrzawy. Tu znajdywałem Boga, Pana Wszechrzeczy, Spokojnego, a jakże wiele mówiącego do mnie swym milczeniem. Nastąpił okres częstych spowiedzi i Komunii św. To poprzedziło bezpośrednio moje wstąpienie do seminarium“ [16]).

W historii Kościoła znajdujemy szereg wybitnych postaci, które można by zaliczyć do tego typu powołania. Mam tutaj na myśli św. Augustyna, św. Franciszka z Assyżu, św. Ignacego Lojolę.

IV TYP: FAZOWY

(9%)

Wspomniane trzy typy stanowią znaczną większość powołań, bo 79%. Cztery typy, które zostały jeszcze do omówienia, występują rzadziej.

W typie fazowym czas pojawienia się po raz pierwszy powołania nie odgrywa ważniejszej roli. W obrębie tego typu znajdujemy bowiem wypadki uświadomienia sobie powołania w wieku chłopięcym, młodzieńczym i dorosłym. Powodem wyodrębnienia tego typu było zjawisko charakterystyczne, a mianowicie przerwa w powołaniu. Element psychologiczny powołania znamionują więc tutaj pewne fazy. Powołanie pojawia się, trwa, zanika na pewien czas, a potem znowu się pojawia. Faza „powrotnego powołania“ bywa zwykle intensywniejsza, jeśli chodzi o siłę przeżyć religijnych.

Przytoczone poniżej wypowiedzi alumnów objaśnią żywym językiem martwy schemat.

„Już jako mały chłopiec, lubiłem się „bawić w księdza“ i myślałem o tym, aby zostać księdzem. W latach gimnazjalnych 1937—39 pragnienie to zanikło. Poważnie zacząłem myśleć

16) A. 752, 29.

znowu o kapłaństwie w r. 1943 w czasie choroby siostry i matki. Po śmierci matki pragnienie to utrwaliło się. Kiedy dzisiaj się nad tym zastanawiam, trudno mi zrozumieć, jak mogłem w ciągu paru dni skierować swe pragnienia tak silnie w kierunku kapłaństwa, jeżeli przez parę lat o tym prawie nie myślałem"[17]).

Przerwa ta może być nieraz nawet długa, jak o tym świadczy następująca wypowiedź:

„Kiedy uczęszczałem do szkoły powszechnej, miałem pragnienie zostania księdzem. Później warunki się zmieniły i nie mogłem kontynuować swych zamiarów, ponieważ zostałem w domu przy rodzicach i nie kształciłem się. Dopiero w 27 roku życia zacząłem uczęszczać do gimnazjum i liceum dla dorosłych. Wtedy to moje pragnienie odżyło" [18]).

Jako przyczynę owego przejściowego „zaniku" powołania, podają alumni zwykle niemożność kontynuowania nauki i „wybujałości natury młodzieńczej", jak się któryś z nich wyraził. W wielu wypadkach rolę tego czynnika, powodującego przerwę w powołaniu, spełniła wojna, która zdawała się przekreślać wszystkie ludzkie plany.

V TYP: DYSHARMONIJNY

(8%)

Alumni należący do tego typu przeżywali w związku z powołaniem ostry konflikt. Ich reakcja na wezwanie Boże była zasadniczo pozytywna, jednakowoż w tym samym czasie zrodziło się w ich duszy pragnienie osiągnięcia innego celu, który zasadniczo kolidował z powołaniem. W grę wchodzi tutaj w olbrzymiej większości wypadków miłość do kobiety.

Młody człowiek staje wobec pytania: Co robić? a raczej: Co wybrać? Odczuwa on głęboką skłonność do kapłaństwa, a równocześnie zdaje sobie jasno sprawę, że gorąco pragnie także czegoś innego. Wola ludzka raz zestraja się z wolą Bożą, to znów wchodzi z nią w kolizję.

Wprawdzie alumni należący do typu harmonijnego też przeżywali często tego rodzaju kryzys, miał on jednak przebieg łagodny i nie zagrażał poważnie ich powołaniu. Oto dwie wypowiedzi alumnów, których m. in. zaliczyłem to typu „dysharmonijnego":

---

17) A. 269, 29.
18) A. 685, 29.

„Pragnienie zostania kapłanem zjawiło się u mnie tak niespostrzeżenie, że nawet trudno mi teraz uświadomić sobie, kiedy po raz pierwszy zdałem sobie z tego sprawę. Początkowo interesowałem się wszystkim, co było związane ze służbą Bożą, a najgorętszym moim pragnieniem było służenie do Mszy św. Gdy to nastąpiło w I klasie gimnazjalnej, zapoznałem się szybko z mszałem i śpiewem gregoriańskim. Pierwszym takim pragnieniem było: być w seminarium razem z klerykami, brać z nimi udział w asyście i śpiewie. Zwolna uświadomiłem sobie, że to nie może być przecież moim ostatecznym celem. I tu „wyszła" sprawa mego powołania. Wahałem się długo, gdyż obawiałem się, że powołanie moje jest tylko iluzją. Dopiero po rozmowie z przyjacielem klerykiem (miałem wówczas lat 17), zdecydowałem się ostatecznie na wstąpienie do seminarium.

Już w drugiej połowie II klasy licealnej, gdy byłem zdecydowany wstąpić do seminarium, zdałem sobie sprawę, że zakochałem się w mojej koleżance. Przez pewien czas nie wiedziałem, co robić, chociaż właściwie ani na chwilę nie pomyślałem o zrezygnowaniu ze wstąpienia do seminarium duchownego. Ona wiedziała o moim zamiarze; często nawet rozmawialiśmy na ten temat. Gdy jej ostatecznie powiedziałem o swym do niej stosunku, a jednocześnie zaznaczyłem, że celu swego nie straciłem sprzed oczu, wyznała, że względem mnie żywi te same uczucia, ale ponieważ należę do Boga, więc nie myśli mi przeszkadzać. Obecnie studiuje na uniwersytecie i ma zamiar wstąpić do zakonu. (W tym roku rodzice nie zgodzili się jeszcze na to)" [19]).

„Powołanie zrodziło się we mnie w 17 roku życia. Ciekawą jest rzeczą, że przedtem nigdy o tym nie pomyślałem nawet i wstydziłbym się, gdyby mnie kto przekonywał, że powinienem zostać kapłanem. Na początku 1942 r. zachorowałem na płuca, a chociaż choroba nie była groźna, zacząłem jednak myśleć o możliwości śmierci. Poleciłem się więc Bogu i obiecałem Mu podświadomie, że zostanę księdzem, jeśli wrócę do zdrowia. Nie był to jednak wyraźny ślub, ani przyrzeczenie; zdawałem sobie jasno z tego sprawę. Pilnie wystrzegałem się, aby Bogu tego na pewno nie przyrzekać, ponieważ miałem stanowczy zamiar poślubić kochaną dziewczynę. Ale od tego czasu zacząłem jednak poważnie myśleć o kapłaństwie, a roz-

---

19) A. 746, 29.

maite zdarzenia tłumaczyłem sobie jako znaki woli Bożej. Najważniejszą chyba okolicznością w moim powołaniu był fakt onanizmu. Lektura książki Schilgena: „Ty i ona", rozpaliła we mnie zapał do walczenia z tym nieszczęściem młodych ludzi. Znając to dobrze pragnąłem gorąco, aby innych przed tym przestrzegać. To był główny powód mego powołania". [20])

Do V typu powołania można by zaliczyć prawdopodobnie ks. Franciszka Chisholma, bohatera powieści Cronina: „Klucze królestwa".

VI TYP: OPOZYCYJNY

(3%)

Powołanie alumnów należących do tego typu przypomina historię proroka Jonasza.

„I wyrzekł Pan słowo do Jonasza: „Wstań i udaj się do Niniwy, wielkiego miasta i głoś tam kazanie, ponieważ przewrotność jej zjawiła się przede Mną. Jonasz wstał, aby uciec sprzed oblicza Pana...." [21])

W typie opozycyjnym widzimy wyraźną walkę z powołaniem nie przebierającą częstokroć w środkach.

Jeżeli alumn, należący do typu dysharmonijnego stawał wobec dylematu: albo powołanie, albo... — to tutaj oświadcza on zdecydowanie: „Powołanie? Stanowczo nie!"

„Prawdziwe powołanie zrodziło się we mnie w 26 roku życia, pod wpływem książki, której tytułu już dzisiaj nie pamiętam. Wszelkimi sposobami broniłem się przed tym, aby zostać księdzem. Przechodziłem okropną wewnętrzną walkę. Raz zwyciężała jedna strona, raz druga. Był to dla mnie okres bardzo trudny, gdyż nie posiadałem kierownika sumienia. Studiowałem wówczas na uniwersytecie. Żyłem w ciężkich warunkach materialnych. Opuściła mnie najbliższa rodzina. Pod wpływem tych zmartwień zacząłem się częściej zastanawiać nad sobą i chodzić do kościoła. Przy tej okazji spotkałem kolegów i koleżanki, którzy codziennie przystępowali do Komunii św. Początkowo uważałem to za dewocję. Z czasem jednak sam zacząłem stopniowo przystępować do Sakramentów św. W tym czasie dokonała się we mnie zmiana. Wreszcie po wielu przeżyciach, po odbytych rekolekcjach zamkniętych, złożyłem N.M.P. ślubowanie, że zostanę księdzem". [22])

20) A. 45, 29.
21) Jon. I, 1—3.
22) A. 338, 29.

„Już od najmłodszych lat chciałem rozdawać ludziom Komunię św. Wkrótce jednak po uświadomieniu sobie głosu Bożego zacząłem go tłumić w sobie. Pozostała mi jednak „chęć pracy dla kogoś i dla czegoś“. Chciałem nawet przerzucić się całkowicie na chemię, by później w zupełnym osamotnieniu pracować dla nauki. Planu tego jednak nie zrealizowałem. Zgłosiłem się do małego seminarium, ale mimo pomyślnie zdanego egzaminu, nie wstąpiłem do tego zakładu. „Pomagać drugim“ — ten głos nie dawał mi spokoju. Unikałem osób duchownych, obawiając się, aby nie wydobyto na światło dzienne, przy tej okazji moich „zamiarów“. Sam wmawiałem w siebie, że stan kapłański nie jest dla mnie. Aby samemu sobie to „udowodnić“, zapisałem się do liceum matematycznego, by brak stopnia z łaciny utrudnił mi wstąpienie do seminarium duchownego. A więc jednak myślałem o seminarium...“ [23]). (Jak wynika z dalszych wypowiedzi, wstąpił on do seminarium w 26 roku życia. m. p.).

„Po raz pierwszy została mi ta myśl (zostania kapłanem) podsunięta przez wiejskiego nauczyciela w 9 roku życia. Nie wiem, z jakiego powodu zapytał on mnie, czy nie zechciałbym zostać księdzem. Odpowiedziałem wówczas prawie bez namysłu: „Tak“. Odtąd ta myśl już mnie nigdy nie opuszczała, a raczej wciąż mnie „ścigała“, chroniła przed wybrykami i stawała się zaporą w szukaniu szczęścia w małżeństwie. W szkole nazywano mnie „proboszczem“. Rzucałem się z pięściami na tego, kto mnie darzył tym mianem. Chociaż miałem skłonność do kłamstwa, to jednak nigdy nie powiedziałem nic innego, jak to co myślałem, kiedy pytano mnie poważnie o wybór zawodu. Dzisiaj nie mogę twierdzić, żeby to było naprawdę pragnienie mego serca. Były bowiem okresy, w których starałem się przed tym uciec (do wojska, na uniwersytet...)“ [24])

Historię omawianego typu powołania zrealizował dość obszernie i głęboko W. Huenermann w książce o O. Damianie [25]).

Interpretacja przeżyć, które zachodzą w tym typie powołania kapłańskiego, nie należy do rzeczy łatwych. Z wynurzeń alumnów widać, że w ich duszy tkwiła jednak głęboka skłonność do kapłaństwa, którą odczuwali, jako coś im „narzuconego“. Czasem nawet solidaryzowali się oni z tą myślą, wkrótce jednak rozpoczynali z nią na nową zawziętą walkę. Nie można

23) A. 487, 29.
24) A. 468, 29.
25) Huenermann W., Ojciec Damian, Poznań 1948.

jednak zapominać, że w ankiecie mamy do czynienia jedynie z tymi wypadkami, kiedy powołanie zwyciężyło. Jest wielce prawdopodobne, że w innych wypadkach wynik walki był odmienny i człowiek zdołał wreszcie „zabić głos Boga w duszy", jak nazywa to Huenermann.

Może mamy tutaj do czynienia ze zjawiskiem, które psychologia religii określa mianem „resentymentu".

Oto gdy człowiek ceni pewne dobro, ale w pewnym momencie zaczyna odczuwać trudności, czy też wręcz, jak mu się zdaje, niezdolność do dalszego dążenia do niego, wówczas obniża on tę wartość i stara się usunąć z drogi swego życia, a nawet znienawidzi ją. W konsekwencji zaczyna kultywować, z nadmierną gorliwością, wartości wprost przeciwne.

Nienawiść do „dóbr", które usiłuje wyeliminować ze swej duszy, jest zjawiskiem pierwotnym, natomiast przesadne nieraz kultywowanie nowych wartości jest zjawiskiem wtórnym.

VII TYP: PAWŁOWY

(1%)

Ostatnią, a zarazem najmniejszą grupę powołań kapłańskich, wynoszącą według obliczeń 1%, stanowi typ pawłowy.

Jest to powołanie, które budzi się późno. Przeciętna wieku, w którym nastąpiło uświadomienie sobie powołania, wynosi 24 rok życia.

Inną charakterystyczną cechą tego typu jest prawdopodobnie brak „okresu latencji" powołania. Wypowiedzi alumnów, których zaliczyłem do tego typu, zdają się na to wskazywać.

Najbardziej jednak charakterystyczną cechą tego typu jest zjawisko nagłego „nawrócenia się", spowodowane raczej czynnikami zewnętrznymi. Podczas gdy w typie endogenicznym mieliśmy do czynienia też z „nawróceniem", które dokonywało się jednak bardzo powoli, prawie że bez udziału czynników zewnętrznych, „rosło wewnątrz" — tutaj ma ono charakter nagły i dokonuje się pod wpływem widocznych czynników zewnętrznych.

Podczas gdy w typie endogenicznym „stary i nowy człowiek" przez pewien czas razem mieszkają i walczą ze sobą, to w typie pawłowym „stary człowiek" nagle odchodzi, a na jego miejsce zjawia się „nowy człowiek".

Bibliści katoliccy są zdania, że nawrócenie św. Pawła było pozbawione prawdopodobnie „okresu latencji". Dalsze cechy

tego nawrócenia, a mianowicie jego nagłość i decydujący wpływ czynnika zewnętrznego tłumaczą, dlaczego VII typ powołania nazwałem „typem pawłowym".

A oto dwie bardziej charakterystyczne wypowiedzi:

„Pragnienie zostania kapłanem uświadomiłem sobie po raz pierwszy w 22 roku życia podczas wspólnej wycieczki górskiej. Moja narzeczona zginęła wtedy tragiczną śmiercią. Jej śmierć wywołała zwrot w mym życiu i spowodowała decyzję wstąpienia do seminarium duchownego." [26])

„W dzieciństwie nie przyszło mi nigdy nawet na myśl, że mógłbym kiedyś zostać księdzem. Tak trwało to do 21 roku życia. Zawsze miałem jednak skłonność do idealizmu, do pracy nad udoskonalaniem charakteru, do zastanawiania się nad sensem istnienia. Jednakowoż te naturalne dobre skłonności zostały wypaczone już w młodzieńczym wieku przez niezdrowe marzycielstwo i grzechy przeciwko czystości. Ostatecznie pozostało z tego namiętne pragnienie własnej wielkości i sławy. Od 15 roku życia stałem się zupełnie niewierzącym. Utworzyłem sobie własny światopogląd, własną ideę życiową, dla której chciałem zdobywać świat i w ten sposób uszczęśliwiać innych. Pobyt w obozie koncentracyjnym zachwiał nieco mój optymistyczny pogląd na człowieka. Potem zostałem skazany na śmierć. Przez kilka miesięcy oczekiwałem wraz z innymi skazańcami na wykonanie wyroku. W tym okresie zastanawiałem się intensywnie nad celem istnienia człowieka i sensem świata. Ostatecznym rezultatem tych rozważań był całkowity pesymizm i sceptycyzm. „Prawdą jest, że nic nie jest prawdą" — doszedłem do wniosku. W tym czasie nie przychodziła mi nawet myśl o Bogu, a książki religijne, które spotykałem, odsuwałem od siebie ze zniechęceniem. „Nigdy nie mógłbym w to uwierzyć" — myślałem. Przy czytaniu jakiegoś zdania z książki, której tytułu dzisiaj nie pamiętam, zaszła we mnie dziwna zmiana. Mój umysł przeniknęła jak gdyby błyskawica. Wstałem i zacząłem chodzić po celi powtarzając: „Wierzę, wierzę!", chociaż jeszcze nie uświadamiałem sobie jasno, w co wierzę. Nawrócenie moje było natychmiastowe i zupełne. Byłem całkiem nowym człowiekiem. Potem przyszły dni upojenia i szczęścia. Uświadomiłem sobie od razu, że służenie Bogu może być jedynym moim celem. Dotychczas zawsze szukałem w życiu jakiejś jednej idei, która potrafiłaby wypełnić moje życie i rozwiązać wszystkie problemy świata. Od chwili nawrócenia ani na chwilę nie opu-

---

26) A. 328, 29.

ściło mnie przekonanie, że Bóg jest wszystkim... Ogólna decyzja oddania się na służbę Bogu skrystalizowała się po pewnym czasie w powołanie kapłańskie" [27]).

Reasumując rozważania zawarte w tym artykule widzimy, że alumni nie przeżywali swego powołania według schematu. A jednak można było w przytoczonych wypowiedziach dostrzec pewne charakterystyczne cechy, które usprawiedliwiły, jak sądzę, wprowadzenie tej typologii. Każde powołanie jest jednak czymś niepowtarzalnym. Stąd napotykałem nieraz na poważne trudności w określeniu typu, do którego należałoby danego alumna zaliczyć.

Spotykało się też niejednokrotnie wypowiedzi wskazujące na typ powołania, który można by nazwać „mieszanym". U tego samego alumna występowały elementy np. powołania fazowego i dysharmonijnego, lub endogenicznego, opozycyjnego i fazowego itp. i to w różnej kolejności. Nie chciałem jednak, bez istotnej potrzeby, mnożyć liczby typów. Uwzględniając bowiem możliwe kombinacje, należało by wprowadzić jeszcze kilkanaście typów. W wypadku typu „mieszanego", zwracałem przeto uwagę na element dominujący i na tej podstawie zaliczałem danego alumna do jednej z siedmiu grup.

Dużą rolę w przeżyciach alumnów odegrała ubiegła wojna. Ona to zapewne spowodowała zjawisko, że znaczny procent alumnów (21%) należało zaliczyć do typu endogenicznego. Wojna również w wielu wypadkach sprawiła, że powołanie, które w warunkach normalnych przybrałoby zapewne postać harmonijnego, stało się fazowym lub dysharmonijnym. W normalnych warunkach, sądzę, procent powołań harmonijnych jest znacznie wyższy.

Opracowywanie ankiety określa się jako „czarną robotę"; jednak wdzieranie się w mało zbadane tajniki ludzkiej duszy sprawia wielką satysfakcję.

W takiej „pionierskiej" pracy łatwo jest o fałszywy krok. Zdaję sobie jasno z tego sprawę, że większość wygłoszonych przeze mnie poglądów to tylko przypuszczenia, które muszą ulec pogłębieniu i rewizji w wyniku wnikliwszych dociekań poznawczych.

Praca pt. „Psychologia powołania kapłańskiego", z której podałem tutaj w streszczeniu jeden rozdział, objęła tylko pewien odcinek powołania kapłańskiego, a mianowicie jego okres

---

[27]) A. 522, 29.

od momentu uświadomienia go sobie po raz pierwszy w życiu aż do wstąpienia do seminarium duchownego.

Niewątpliwie jest rzeczą wielce interesującą, jak kształtuje się powołanie w seminarium duchownym, a zwłaszcza po święceniach kapłańskich. Temu ważnemu zagadnieniu należałoby poświęcić osobną rozprawę naukową.

Sądzę, że byłoby również rzeczą pożyteczną zorganizować tego rodzaju akcję ankietową na terenie innych krajów. Dopiero wtedy, mając do dyspozycji dane na ten temat od alumnów o odmiennej psychice narodowej i żyjących w rozmaitych środowiskach, można by określić bardziej dokładnie ogólnoludzkie pierwiastki psychologiczne w powołaniu kapłańskim.

Ks. Andrzej Bardecki.

TOMASZ MERTON

POSIEW KONTEMPLACJI

(Ciąg dalszy)

5. CIAŁO ROZDARTE

Ty, i ja, i wszyscy ludzie zostaliśmy stworzeni, ażeby odnaleźć naszą prawdziwą osobowość w jednym, mistycznym Chrystusie, w Którym dopełnimy się wzajemnie „stawszy się mężami doskonałymi na miarę pełnego wzrostu dojrzałości Chrystusowej".

Kiedy już wszyscy osiągniemy tę doskonałość w miłowaniu, która jest kontemplacją Boga w Jego chwale, nasze nienaruszalne osobowości, pozostając wieczyście odmienne od siebie, połączą się mimo to w jedno, tak że każdy z nas odnajdzie się w innych: Bóg zaś będzie życiem i rzeczywistością nas wszystkich. *Omnia in omnibus Deus.*

Bóg jest ogniem pożerającym. To też On jeden może nas wyczyścić jako złoto, oddzielić nas od żużli i osadów naszego samolubnego „ja" i przetopić w tę doskonale złączoną całość, odzwierciedlającą wiecznie Jego własne Życie w Trójcy Świętej.

Tak długo jak nie chcemy dopuścić, ażeby Jego miłość całkowicie nas przetrawiła i połączyła w Sobie, złoto, znajdujące się w nas, pozostaje zakryte skałą i błotem, które podtrzymują w sercach wzajemną wrogość.

Dopóki miłość Boga nie oczyści nas zupełnie i nie przemieni w Niego w zjednoczeniu czystej świętości, będziemy wciąż rozdzieleni, sprzeciwiający się sobie, a wszelka jedność pomiędzy nami będzie zawsze rzeczą niestałą i trudną, pełną wysiłków i zawodów, pozbawioną trwałej spoistości.

Na całym świecie, w ciągu całej historii, nawet wśród ludzi wierzących i świętych, Chrystus cierpi mękę tego rozdarcia.

Jego Ciało fizyczne zostało ukrzyżowane przez Piłata i faryzeuszów. Jego Ciało mistyczne jest w boleści rozdwojenia, zrodzonego i rozwijającego się w naszych duszach, skłonnych do samolubstwa i grzechu.

Bo nawet ci niewinni, w których Chrystus żyje miłością, nawet ci, którzy całym sercem pragną się kochać nawzajem, podlegają jeszcze tym różnicom i podziałom. Chociaż są już w Nim połączeni, ich jedność jest ukryta przed ich wzrokiem, gdyż ogranicza się jedynie do najskrytszej głębi ich dusz.

Dopóki żyjemy na ziemi, ta jednocząca nas miłość przy każdym zetknięciu się z ludźmi staje się dla nas źródłem cierpienia: jest to bowiem składanie połamanych kości. Na tym świecie nawet święci nie mogą żyć z innymi świętymi bez pewnego wysiłku i przykrości, spowodowanych przez zachodzące pomiędzy nimi różnice.

Ludzie mogą reagować w dwojaki sposób na cierpienie wypływające z tego rozdarcia: miłością lub nienawiścią.

Nienawiść cofa się przed ofiarą i bólem, które są ceną tego złożenia połamanych kości. Nie chce doznawać nieodłącznego od niego cierpienia. Utożsamia je z ludźmi, którzy są jego przyczyną i przypominają nam to wzajemne rozdarcie.

Nienawiść chciałaby je uleczyć, niszcząc tych, co się oddzielają od nas. Próbuje osiągnąć pokój, usuwając z drogi wszystkich prócz siebie.

Ale miłość, przyjmując odważnie ból składania połamanych członków, zaczyna leczyć wszystkie rany.

Miłość doskonali się najbardziej przez te ofiary i cierpienia, których życie wspólne w pokoju i zgodzie wymaga od ludzi. One też przygotowują nas do kontemplacji.

Bo chrześcijaństwo nie jest tylko pewną doktryną albo systemem wierzeń: oznacza ono Chrystusa, żyjącego w nas i jednoczącego nas wzajemnie w Swoim własnym Życiu i Jedności. „Ja w nich a Ty we Mnie, Ojcze, tak by byli w jedności doskonałymi..." „A chwałę, którą Mi dałeś przekazałem im, aby byli jedno jako i My jedno jesteśmy". *In hoc cognoscent*

omnes quia mei estis discipuli, si dilectionem habueritis ad invicem.

„Kto nie miłuje, trwa w śmierci".

Jeżeli uważasz kontemplację przede wszystkim za sposób ucieczki od nędzy ludzkiego żywota lub okazję do wycofania się z trudu i cierpień tej walki o zjednoczenie się z innymi ludźmi w miłości Chrystusowej, nie masz wyobrażenia o tym, czym jest kontemplacja i nie znajdziesz w niej Boga. Gdyż odnajdujemy i poznajemy Go właśnie przez odzyskiwanie łączności z naszymi braćmi w Chrystusie. Wówczas dopiero Jego Życie zaczyna przenikać nasze dusze, Jego miłość ogarnia nasze władze i stajemy się zdolni do poznania, Kim On jest, przez zetknięcie się z Jego hojnością w oddawaniu całego Siebie, odzwierciedloną w naszej oczyszczonej woli.

Istnieje tylko jedna droga ucieczki przed światem: nie jest nią omijanie trudności, konfliktów i cierpienia, ale powrót od stanu rozdarcia i podziału do jedności prawdziwego umiłowania ludzi.

Jeżeli chcesz uciec od świata jedynie przez opuszczenie tego państwa i przebywanie w samotności, zabierzesz je z sobą nawet do pustelni. Możesz jednak być całkowicie poza światem, pozostając w nim zewnętrznie, o ile tylko pozwolisz, ażeby Bóg uwolnił cię od samolubstwa i jeśli będziesz żył wyłącznie miłością.

Bo ucieczka od świata nie jest niczym innym jak tylko ucieczką od egoizmu. A człowiek zamykający się w odosobnieniu z własnym samolubstwem stawia się w położenie, w którym zło, znajdujące się w nim, albo posiądzie go całego niczym diabeł albo doprowadzi go do obłędu.

Niebezpiecznie jest więc szukać samotności jedynie dlatego, że ona odpowiada moim osobistym upodobaniom.

6. SAMOTNOŚĆ

Fizyczna samotność, zewnętrzna cisza i prawdziwe skupienie są bezwzględnie potrzebne dla każdego, kto chce prowadzić życie kontemplacyjne. Ale jak wszystkie rzeczy, należące do świata stworzeń, nie są one niczym innym, jak tylko środkami

wiodącymi do celu, a jeżeli nie rozumiemy tego celu, będziemy także źle używać środków.

Powinniśmy więc zawsze pamiętać, że szukamy samotności jedynie po to, ażeby w niej wzrastać w miłość Boga i ludzi. Nie udajemy się na pustynię, ażeby uciec od naszych bliźnich, ale żeby się nauczyć ich odnajdywać. Nie oddalamy się od nich, ażeby już nie mieć z nimi nic wspólnego, lecz żeby szukać sposobów czynienia im dobrze. I to jednak jest zawsze celem pośrednim.

Jedynym celem, zawierającym w sobie wszystkie inne, jest miłość Boga.

Najistotniejsza samotność nie znajduje się na zewnątrz ciebie, nie polega na nieobecności innych ludzi ani na otaczającej cię ciszy — jest to przepaść otwierająca się na dnie twojej własnej duszy.

Ta przepaść wewnętrznej samotności wytwarza się na skutek głodu, nie dającego się zaspokoić żadną rzeczą stworzoną.

I jedyną drogą do jej znalezienia jest właśnie ten głód i pragnienie, to ubóstwo, cierpienie i tęsknota — tak że człowiek, który doszedł do takiej samotności, odczuwa w sobie dziwną próżnię, jak gdyby został spustoszony przez śmierć.

Zapuścił się poza wszystkie horyzonty. Nie ma tu dróg, którymi mógłby wyruszyć w podróż. Jest to kraina, której środek jest wszędzie a obwód nie znajduje się nigdzie. Nie napotkasz jej wędrując daleko, ale raczej stojąc w miejscu.

A przecież w tej samotności rodzi się najgłębsza moc działania. W niej odkrywasz czynność bez ruchu, pracę, będącą niezamąconym odpoczynkiem, widzenie w ciemności i pełnię, przewyższającą wszelkie pragnienie, której granice rozszerzają się w nieskończoność.

Choć ta samotność rzeczywiście znajduje się wszędzie, to jednak istnieje pewien mechanizm jej zdobywania, związany z prawami przestrzeni i z geografią, z fizycznym oddaleniem się od miast i zbiorowisk ludzkich.

Musisz mieć conajmniej pokój lub choćby jakiś kąt, gdzie nikt ci nie będzie mógł przeszkodzić, odszukać cię ani nawet zauważyć. Powinieneś móc się odłączyć od świata i uwolnić się od niego zupełnie, zrywając wszystkie napięte liny, jak i cien-

kie nici, wiążące cię wzrokiem, słuchem czy myślą z obecnością innych ludzi.

Ale znalazłszy raz takie miejsce zadowolnij się nim i nie zniechęcaj się, jeśli jakaś ważna przyczyna cię z niego wyrwie. Pokochaj je, powracaj do niego możliwie najczęściej i nie bądź zbyt pochopny do zamieniania go na inne.

Powiedzieliśmy już, że samotność, konieczna dla tych, co chcą oddać się życiu kontemplacyjnemu, ma być przede wszystkim wewnętrzna i duchowa. Przyjęliśmy też, że przebywanie w takiej głębokiej i pełnej spokoju samotności jest zupełnie możliwe w zamęcie i zgiełku tego świata. Ale ta prawda bywa nieraz źle rozumiana, zwłaszcza przez zakonników. Bywają ludzie poświęceni Bogu, których życie jest stale rozproszone i którzy już nie pragną być sami. W teorii przyznają wprawdzie, że i zewnętrzna samotność jest dobra, podkreślają jednak z naciskiem, iż o wiele większą wartość ma zachowywanie jej wśród świata. W praktyce działanie i przywiązania pożerają i dławią całe ich życie. Wewnętrzna samotność staje się dla nich niemożliwa — po prostu boją się jej. Robią, co się tylko da, ażeby przed nią uciec. Co gorsza, starają się wciągnąć innych w ten wyniszczający i bezustanny wir działania — stają się wielkimi propagatorami bezużytecznej pracy. Lubią ponad wszystko organizowanie zebrań, bankietów, konferencji i odczytów. Drukują ulotki, piszą listy, prowadzą godzinami telefoniczne rozmowy, jedynie w celu zgromadzenia stu lub więcej osób w jakiejś wielkiej sali, gdzie wszyscy razem zatrują powietrze dymem z papierosów, narobią wiele hałasu, będą klaskać w dłonie i ryczeć na siebie, po czym powloką się z trudem do domu, poklepując się wzajemnie po ramieniu, z przeświadczeniem, że dokonali wielkich rzeczy dla szerzenia Królestwa Bożego.

Nie osiągniesz nigdy wewnętrznej samotności, o ile nie zdobędziesz się na świadomy wysiłek woli, żeby się uwolnić od pragnień, trosk i zainteresowań związanych z istnieniem w czasie i życiem wśród świata.

Zrób, co tylko się da, ażeby unikać hałasu, interesów i rozrywek. Usuń się, o ile to będzie możliwe od miejsc, gdzie ludzie gromadzą się po to, ażeby się wzajemnie omamiać, lżyć i wyzyskiwać, żeby się wyśmiewać i drwić z innych z fałszywymi gestami rzekomej przyjaźni.

A jednak pamiętaj, jeżeli szukasz tej ucieczki tylko dla niej samej i zrywasz ze światem jedynie dlatego, że on ci jest (bo być musi) wysoce niemiły — nie osiągniesz spokoju i nie znajdziesz samotności. Jeżeli dążysz do niej tylko dlatego, że wolisz ją od towarzystwa ludzi, nie uciekniesz nigdy od świata i jego egoizmu: nie zdobędziesz nigdy tej wewnętrznej wolności, która jedna może ci dać rzeczywistą samotność.

7. TEOLOGIA MORALNA SZATANA

Szatan ma swój system teologii i filozofii i przy jego pomocy tłumaczy każdemu, który go chce słuchać, że świat rzeczy stworzonych jest zły i ludzie są źli, że Bóg stworzył zło i jest Jego zamiarem, żebyśmy na skutek zła cierpieli. Bóg nawet cieszy się cierpieniem ludzi i cały świat jest w rzeczywistości pełen nędzy i bólu, ponieważ jego Stwórca tak chciał i takie mu wyznaczył koleje.

U tych, co słuchają tego rodzaju nauki, wchłaniają ją w siebie i znajdują w niej upodobanie, rozwija się powoli swoiste pojęcie duchowego życia, będące niejako hipnozą zła. Obrazy grzechu, cierpienia, kary, sprawiedliwości bożej, odpłaty, końca świata i tym podobne — to przedmioty, nad którymi rozwodzą się najchętniej, mlaskając wargami z niewypowiedzianej rozkoszy. Kto wie czy nie doznają nawet głębokiej, podświadomej przyjemności na samą myśl, że wielu innych ludzi dostanie się do piekła, podczas gdy oni go unikną. A z czegóż-to wnioskują, że właśnie oni unikną potępienia? Nie umieliby nam w odpowiedzi wskazać żadnej oczywistej przyczyny, poza tym subiektywnym poczuciem ulgi, że wszystkie te cierpienia są przygotowane nieomal dla wszystkich innych, tylko właśnie nie dla nich.

To uczucie zadowolenia z siebie jest tym, co nazywają „wiarą" — wytwarza ono u nich przekonanie, że należą do „zbawionych".

Szatan zyskuje wielu zwolenników występując przeciwko grzechowi. Tłumaczy im, że jest on wielkim złem, równocześnie jednak wywołując u nich uczuciowe zakłamanie, które wmawia w nich, że Bóg nie dostrzega ich własnych grzechów. W tym przeświadczeniu pozwala im spędzać resztę życia na

rozmyślaniu nad niezmierzoną złością i oczywistym potępieniem innych ludzi.

Teologia moralna szatana wychodzi z założenia: „Przyjemność jest grzechem“ — po czym zabiera się do odwracania tego twierdzenia, mówiąc: „Każdy grzech jest przyjemnością“.

Później wskazuje na to, że w praktyce człowiek nie może unikać wszelkich przyjemności, a ponieważ mamy naturalny popęd do robienia tego, co jest nam miłe, wyciąga z tego wniosek, że wszystkie nasze przyrodzone skłonności są złe i cała nasza natura jest także sama w sobie zła. Tym sposobem wyrabia w nas w końcu przeświadczenie, że nikt nie jest w stanie przestać grzeszyć, ponieważ nie możemy zwalczyć w sobie upodobania do przyjemnych wrażeń.

Następnie, ażeby się upewnić, że nikt nie będzie usiłował wystrzegać się grzechu i uciekać przed nim, dodaje i przekonywa, że to, czego nie da się uniknąć, nie może być grzechem. Wtedy całe pojęcie grzechu, jako nie mające żadnego zastosowania, wyrzuca się przez okno i ludzie uważają, że nie pozostaje im nic innego, jak tylko żyć dla własnych rozkoszy. Tym sposobem przyjemności naturalne i godziwe, wskutek odwrócenia ich od właściwego celu, stają się istotnie złe i życia ludzkie marnują się w nieszczęściu i grzechu.

Zdarza się czasem, że ludzie, którzy wygłaszają najpłomienniejsze kazania przeciwko grzechowi i grożą mu należnymi karami, w rzeczywistość nienawidzą podświadomie swoich bliźnich. Uważają, że są nie doceniani przez świat i to jest ich sposób wyrównywania z nim swoich porachunków.

Szatan nie lęka się głosić praw bożych, byle tylko mógł głosić je na swój sposób.

Niekiedy używa takich argumentów: „Bóg chce, ażebyś dobrze czynił. Ale ty sam odczuwasz instynktowny pociąg ku temu, co jest dobre — pociąg, objawiający się miłym, ciepłym żarem wewnętrznego zadowolenia. Jeśli więc twoi przełożeni chcą się mieszać do twego duchowego życia i każą ci robić coś, co nie wywołuje w tobie tego miłego poczucia, przytocz im zdanie z Pisma świętego, powiedz, że trzeba słuchać Boga raczej niż ludzi, a potem nie zważając na nic czyń wedle własnej woli, rób to, co daje ci to ciepłe, rozkoszne zadowolenie“.

8. UCZCIWOŚĆ WOBEC SAMEGO SIEBIE

Wielu poetów nie umie być dobrymi poetami dla tej samej przyczyny, dla której wielu zakonników nie zostaje świętymi: jednym i drugim nie udaje się pozostać sobą. Nie każdy potrafi być zawsze tym a nie innym poetą lub tym a nie innym mnichem, jakim Bóg mu być przeznaczył, i przez to nie staje się też nigdy tym człowiekiem albo tym artystą, jaki powinien się był wytworzyć w danych warunkach jego indywidualnego istnienia.

Niekiedy ludzie zużywają umysł i ciało w beznadziejnym wysiłku zdobywania cudzych doświadczeń, albo pisania cudzych poematów, czy też dojścia do cudzej świętości.

W tym chodzeniu szlakami innych może się ukrywać przeraźliwy egoizm. W pośpiechu ludzie chcą zdobyć wielkość przez naśladowanie tego, co się powszechnie podoba — są jednak za leniwi, ażeby na własną rękę pomyśleć o czymś doskonalszym.

Pośpiech niszczy świętych równie jak i artystów. Chcą osiągnąć szybkie powodzenie i śpieszą się, ażeby dotrzeć do celu, tak że nie znajdują już czasu na pozostanie wiernymi sobie. A gdy raz popadli w to szaleństwo, dowodzą, że właśnie ten pośpiech jest cechą wewnętrznej uczciwości.

Widzimy, jak u wielkich świętych pokora idzie w parze z najwyższą wiernością sobie. W praktyce obie te zalety są jednym i tym samym. Święty jest niepodobny do nikogo innego właśnie dlatego, że jest pokorny.

W rzeczach dotyczących zewnętrznych warunków pokora zadawalnia się tym, co wystarcza przeciętnemu człowiekowi. Ale nie znaczy to wcale jakoby jej istotą było być takim jak wszyscy. Przeciwnie, pokora polega na tym, że się jest zawsze tą osobą, którą jesteśmy w oczach Boga. A że przed Bogiem nie ma dwóch takich samych istot w całym wszechświecie, jeżeli jesteś na tyle pokorny, żeby być prawdziwie sobą, będziesz różny od wszystkich innych ludzi. Ale ta twoja indywidualność nie musi się koniecznie zaznaczać na powierzchni codziennego życia. Nie będzie to sprawą pozorów, poglądów, upodobań czy też zewnętrznego działania — jest ona czymś, co leży bardzo głęboko, na dnie duszy.

Dla człowieka prawdziwie pokornego sposób bycia, obyczaje i przyzwyczajenia innych ludzi nie staną się nigdy przedmiotem żadnych konfliktów. Święci nie wpadają w stan podniecenia z powodu tego, co inni w granicach dozwolonych jedzą czy piją, noszą na sobie lub wieszają na ścianach swych mieszkań. Stawiać w tych sprawach swą zgodność lub niezgodność z nimi jako kwestię życia i śmierci, to napełniać swoje życie wewnętrzne stałym zamętem i rozterką. Uważając te dziedziny za obojętne, człowiek pokorny bierze ze świata wszystko, co może mu być pomocą do znalezienia Boga, pozostawiając resztę na uboczu.

Potrafi też jasno zobaczyć, że to, co jest pożyteczne dla niego, może być niepotrzebne dla innych, a to, co innym pomaga do świętości, może stać się jego zagładą. Dlatego pokora przynosi z sobą głęboką delikatność uczuć, spokój, takt i rozsądek, bez których nie ma zdrowej moralności.

Starać się być innym, niż się jest, nie oznacza wcale ducha pokory. To tak jakbyś utrzymywał, że wiesz lepiej niż Bóg, kim jesteś i kim powinieneś być. Czy możesz mieć nadzieję powrotu do domu, jeżeli obierzesz drogę do obcego miasta? Jakim sposobem dojdziesz do doskonałości prowadząc życie kogoś innego? Jego świętość nigdy nie stanie się twoją — musisz zdobyć się na pokorę wypracowania własnego zbawienia w mrokach zupełnej samotności...

Potrzeba heroicznej pokory, ażeby być naprawdę sobą: człowiekiem czy też artystą, którym ci Bóg być przeznaczył.

Dadzą ci nieraz odczuć, że twoja uczciwość wewnętrzna jest pychą. Jest to poważna pokusa — nie możesz bowiem nigdy być pewny, czy jesteś wierny prawdziwemu sobie, czy tylko ochraniasz fałszywą osobowość stworzoną przez twoją żądzę uznania.

Ale najwyższej pokory możesz nauczyć się poprzez wysiłek zachowania tej trudnej równowagi: żebyś pozostał sam sobą, nie sztywniejąc przy tym wewnętrznie i nie przeciwstawiając wrogo swego fałszywego „ja" fałszywym osobowościom innych.

Doskonałości nie nabywa się tak jak się kupuje kapelusze — udając się na określone miejsce, przymierzając kilka z nich i wychodząc w parę minut później z jednym, najlepiej dobranym na głowie. A jednak zdarza się, że ludzie wstępują z takim przekonaniem do klasztoru.

Chcą prędko porwać pierwszy nadarzający się im system wewnętrznego udoskonalenia i spędzić resztę życia nosząc go na głowie.

Pożerają bez rozeznania książki pobożne, nie zastanawiając się ani przez chwilę, czy to, co czytają, ma lub może mieć jakiś związek z ich własnym życiem. Główną ich troską staje się zdobycie jaknajwiększej ilości zewnętrznych formułek i przyozdabianie siebie rysami, które nauczyli się tak pośpiesznie łączyć z pojęciem świętości. Chodzą po świecie w szatach skrojonych na cudzą miarę i zastosowanych do innych okoliczności.

Jeżeli robią to konsekwentnie i wytrwale, ich duchowe przebranie może łatwo wzbudzić podziw u ludzi. Wówczas tak jak artyści o dużym powodzeniu zaczynają się powoli sprzedawać. Potem nie można się już wiele po nich spodziewać. Są dobrzy, to prawda — ale nigdy nie staną na właściwym gruncie i wiele z ich energii, zresztą pełnej dobrych chęci, idzie na marne. Zadowolnili się formą świętości i doskonałości wysnutą na swój użytek z własnej wyobraźni.

I sam Bóg, który chciał stworzyć ich odrębną świętość i tylko im właściwe szczęście, będzie musiał czekać na przejście ich przez pracowity Czyściec, ażeby móc w nich wreszcie tego dokonać.

Jednym z najpierwszych znamion świętego jest to, że ludzie nie wiedzą, co o nim myśleć. W istocie nie są pewni, czy jest on szaleńcem, czy też człowiekiem pysznym. Wydaje się to bowiem conajmniej pychą, jeżeli ktoś jest trapiony nazbyt osobistym ideałem, którego prócz Boga nikt nie rozumie. On sam natrafia na nieuchronne przeszkody, gdy chce dostosować swoje życie do abstrakcyjnych norm świętości. Nie może wtłoczyć swego istnienia w ramy przepisów książkowych.

Niekiedy jest wypadkiem tak beznadziejnym, że żaden klasztor nie chce go trzymać u siebie. Odprawiają go i odsyłają z powrotem do świata, jak to miało miejsce z Józefem Benedyktem Labre, który pragnął wstąpić do trapistów i kartuzów a nie został przyjęty ani przez jednych ani przez drugich. W ostateczności skończył jako włóczęga. Umarł na jednej z ulic Rzymu.

A jednak od czasów średniowiecza jedynym kanonizowanym i uznanym przez cały Kościół świętym, który żył życiem tak cystersa jak i kartuza był właśnie św. Józef Benedykt Labre.

10. PIEKŁO JAKO NIENAWIŚĆ

Piekło to miejsce, gdzie nikogo z nikim nic nie łączy, oprócz tego, że wszyscy się wzajemnie nienawidzą, a jednak nie mogą odejść jedni od drugich ani sami od siebie.

Wszyscy razem są wtłoczeni w jeden ogień, a każdy z osobna chciałby odrzucić daleko od siebie wszystkich innych straszliwą a bezsilną nienawiścią. A powodem tej żądzy uwolnienia się wzajemnie od siebie jest nie tylko wstręt do tego, co potępieni widzą w innych potępionych, ale także poczucie, że i tamci nienawidzą tego, co się w nich znajduje. Wszyscy uświadamiają sobie wzajemnie jedni w drugich to, czego nienawidzą również w sobie: samolubstwo i niemoc, mękę i rozpacz i strach.

Drzewo poznaje się po owocach. Jeżeli chcecie zrozumieć społeczne i polityczne dzieje narodów współczesnych — badajcie piekło.

A jednak świat, ze wszystkimi jego wojnami, nie jest jeszcze piekłem. A historia, jakkolwiek pełna grozy, ma inny i głębszy sens. Bo nie zło jest w historii jej prawdziwym znaczeniem i nie poprzez zło nam współczesne możemy zrozumieć naszą epokę.

Nasz Bóg jest także pożerającym płomieniem. I jeżeli przemieniamy się w Niego i płoniemy tak jak On płonie, Jego ogień stanie się dla nas radością wieczną. Ale jeżeli odepchniemy Jego miłość i będziemy trwać w zimnie grzechu i oporu przeciw Niemu i naszym bliźnim, wówczas (za naszą raczej niż za Jego wolą) ten ogień przemieni się nam w nieśmiertelnego wroga a Miłość zamiast być naszym szczęściem stanie się naszą męką i zagładą.

Gdy miłujemy wolę Boga, odkrywamy Go i uczestniczymy w jego radości we wszystkim. Ale kiedy odwrócimy się od Niego, to znaczy kiedy kochamy siebie więcej niż Boga, wszystkie stworzenia stają się dla nas wrogami i mogą nam jedynie odmawiać bezprawnego zadowolenia, jakiego żąda od nich nasz egoizm. Bo nieskończona, oddająca się szczodrze miłość Boga jest prawem każdej stworzonej istoty, piętnem wyciśniętym na wszystkim, co wyszło z Jego ręki. Więc i świat stworzeń

może się sprzymierzyć tylko z tym, co jest zgodne z Jego niesamolubną miłością, będącą zarazem podstawowym prawem życia każdego człowieka.

Grzech nie ma w sobie nic interesującego — zło jako zło nie może nas niczym pociągać ku sobie.

Zło nie ma rzeczywistego bytu — jest nieobecnością dobra, które powinno tam być. Grzech jako taki jest zasadniczo nudny, jest bowiem brakiem czegoś, co mogłoby pociągać naszą wolę i umysł.

Co nakłania ludzi do złych czynów, to nie zło w nich zawarte, ale tkwiące w nich dobro, na które patrzymy pod fałszywym kątem i w odwróconej perspektywie. Dobro tak oglądane jest tylko przynętą w pułapce. Kiedy ją chcesz wyciągnąć, pułapka się zamyka i ogarnia cię obrzydzenie, nuda — i nienawiść. Grzesznicy to ludzie, którzy wszystkiego nienawidzą, gdyż ich świat jest z konieczności pełen zdrady, złudzeń i zawodów. Najwięksi grzesznicy są jednocześnie najnudniejszymi ludźmi na ziemi, bo sami są także najbardziej znudzeni i uważają, iż życie jest pozbawione wszelkiego uroku.

Gdy próbują zagłuszyć tę nudę istnienia wrzawą, podnieceniem i wywieraniem gwałtu — nieuchronnymi owocami życia poświęconego ściganiu nieistniejących wartości — stają się gorzej niż nudni: zmieniają się w plagi społeczeństwa i całego świata. A być ofiarą takiej plagi, to coś gorszego niż przesyt i nuda.

Ale gdy wiek ich przeminie a oni są już w grobie, rejestr ich zbrodni staje się znowu mało interesujący i jest zakałą nauki historii, tym przykrzejszą, że nawet ośmioletnie dziecko zdaje sobie jasno sprawę jak bezużytecznym zajęciem jest uczyć się o ludziach w rodzaju Hitlera.

11. WIARA

Zaczątkiem kontemplacji jest wiara. Jeżeli w twoim ujęciu wiary jest cośkolwiek zasadniczo niezdrowego, nie dojdziesz nigdy do prawdziwej kontemplacji.

Przytaczamy kilka fałszywych pojęć o tym, czym jest wiara.

W pierwszym rzędzie nie jest ona uczuciem ani żadnym rodzajem wzruszenia. Nie jest też ślepą, podświadomą tęsknotą

do jakiejś nieokreślonej nadprzyrodzoności. Nie jest prostą, żywiołową potrzebą ludzkiego umysłu. Nie jest wewnętrznym przeświadczeniem, że się jest zbawionym lub „usprawiedliwionym" jedynie dlatego, że człowiek przypadkowo doznaje takiego uczucia. Wiara nie jest tylko czymś wewnętrznym i subiektywnym, nie mającym związku z żadną zewnętrzną przyczyną. Nie wydobywa się z tajemnych szczelin twojej duszy, napełniając ją niewyraźnym „poczuciem", że wszystko jest tak, jak być powinno. Nie jest czymś tak wyłącznie twoim, żeby jej treść była zupełnie niekomunikatywna. Nie jest twoim osobistym mitem, którym się nie możesz z nikim podzielić i którego obiektywna wartość nie ma wagi ani dla ciebie, ani dla Boga, ani dla innych ludzi.

Ale wiara nie jest również sądem, który wyrobiłeś sobie o pewnych sprawach. Nie jest przekonaniem, opartym na rozumowej analizie. Nie jest owocem naukowego doświadczenia. Wszak możesz wierzyć tylko w to, czego nie wiesz. Gdy tylko przekonasz się o czymś namacalnie, już nie potrzebujesz w to wierzyć, a w każdym razie twoja wiara nie pokrywa się z tą nabytą wiedzą.

Wiara jest w pierwszym rzędzie przyzwoleniem naszego intelektu. Udoskonala nasz umysł, ale bynajmniej go nie niszczy. Wprowadza go w posiadanie Prawdy, której rozum sam z siebie nie jest w stanie uchwycić. Daje nam pewność, odnoszącą się do Boga takiego, jakim On jest w Swej Istocie. Wiara jest drogą do żywego kontaktu z żyjącym Bogiem, a nie poglądem na abstrakcyjną Pra-przyczynę, wyprowadzonym za pomocą sylogizmów z dowodów dostarczonych przez świat stworzeń.

To przyzwolenie wiary nie opiera się na istotnym świadectwie widzialnych przedmiotów. Akt wiary łączy z sobą dwa człony twierdzenia, które w naszym przyrodzonym doświadczeniu nie mają żadnego związku. Ale również nic w kręgu naszego rozumu nie stwierdza, że nie mogą być połączone. Twierdzenia, wymagające przyzwolenia wiary, są po prostu neutralne dla rozumu. W świecie przyrodzonym nie znajdujemy nic, co by świadczyło o ich prawdziwości lub fałszu. Przyświadczamy im dla innych przyczyn, nie dla ich oczywistości. Przyjmujemy te prawdy jako objawione a powodem przyzwolenia naszego rozumu jest autorytet Boga, Który nam je objawił.

Wiara z natury rzeczy nie może zupełnie zadowalniać naszych władz intelektualnych. Pozostawia je w zawieszeniu, wśród

ciemności, pozbawione światła właściwego dla ich sposobu poznawania. A jednak wiara nie krzywdzi naszego intelektu, nie przeczy mu ani go nie niszczy. Uspokaja go, wszczepiając weń przeświadczenie, o którym wie on, że może być rozumnie przyjęte pod kierunkiem miłości. Bo w akcie wiary intelekt raduje się, że może poznawać Boga kochając Go i przyjmując Jego świadectwo o Sobie na Jego własnych warunkach. To przyjęcie i przyzwolenie jest zupełnie zgodne z rozumem, ponieważ jest oparte na uświadomieniu sobie faktu, że nasz umysł sam z siebie nie jest w stanie nam powiedzieć nic o Bogu takim, jakim On jest rzeczywiście w Swej boskiej Istocie. Rozum stwierdza także, że będąc nie kończącym się Aktem, Bóg jest samą Prawdą, Mądrością, Mocą i Opatrznością, może się więc z absolutną pewnością objawiać w sposób, jaki Mu się podoba i potwierdzać to, co o Sobie objawił, zewnętrznymi znakami.

W końcu wiara jest również jedynym kluczem do wszechświata. Na żadnej innej drodze nie zdołamy nigdy odkryć ostatecznego sensu ludzkiego istnienia ani znaleźć odpowiedzi na pytania, od których zależy całe nasze szczęście.

Bóg żywy, Bóg, Który jest Bogiem a nie abstrakcyjnym tworem filozofów, znajduje się nieskończenie daleko poza granicami tego, co nasze oczy mogą dojrzeć a nasza myśl zrozumieć. I cokolwiek powiemy o Jego przymiotach, musimy dodać, że nasze pojęcia są tylko bladą analogią tej doskonałości, jaka jest w Bogu i że On nie jest jeszcze ściśle Tym, Którego określamy naszym pojęciem.

Ten, Który jest niezmierzonym światłem, tak jest nieogarnionym w Swej jasności, że nasze umysły widzą Go jedynie jako ciemność. *Lux in tenebris lucet et tenebrae eam non comprehenderunt.*

Jeżeli nic widzialnego nie może być Bogiem ani Go przedstawiać naszym oczom takim, jakim On jest rzeczywiście, to żeby Go odnaleźć musimy również przejść poza wszystko, co może być przedmiotem naszego widzenia i wejść w ciemność. Ponieważ nic z tego, co dałoby się usłyszeć, nie jest Bogiem, chcąc Go odszukać musimy wejść w głębie milczenia.

Jeżeli Boga nie można sobie wyobrazić, wszystko, co mówi nam o Nim nasza wyobraźnia, staje się w ostatecznym wyniku kłamstwem. Nie możemy więc poznać Go takim, jakim jest

w istocie, dopóki nie wyjdziemy poza granice wszystkiego, co da się w jakikolwiek sposób przedstawić, wchodząc w mrok pozbawiony wszelkich obrazów i podobieństwa do rzeczy stworzonych.

A ponieważ Bóg nie może stać się przedmiotem widzenia ani wyobraźni, Jego objawienia się w różnych postaciach, które — jak nieraz czytamy — ukazywały się świętym, były nie tyle wizjami Jego Istoty, ile ich wizjami o Nim; gdyż zobaczyć cokolwiek, to już nie widzieć Boga.

Bóg może być pojęty tylko przez samego Siebie. Jeżeli więc mamy Go zrozumieć, musimy się w jakiś sposób niejako w Niego przemienić, tak żebyśmy mogli Go poznać podobnie jak On poznaje Siebie. A On nie poznaje samego Siebie za pomocą jakiegokolwiek obrazu Swojej Istoty: Jego własny, nieskończony Byt jest zarazem i Jego wiedzą o Sobie i my nie poznamy Go tak jak On się poznaje, dopóki nie będziemy złączeni z Tym, Kim On jest.

Wiara jest pierwszym krokiem na drodze do tego przemienienia — jest bowiem już poznaniem, obywającym się bez obrazów i analogii, które utożsamia się w ciemności przez miłość z Istotą żywego Boga.

Wiara dosięga nasz intelekt nie poprzez poznanie zmysłowe, ale w świetle wlanym bezpośrednio przez Boga. A ponieważ to światło nie przechodzi przez oczy, ani przez wyobraźnię, ani przez rozum, więc pewność, jaką przynosi z sobą, udziela się nam bez szaty jakiejkolwiek postaci ze świata stworzeń i bez analogii, którą można by opisać lub ukazać. Prawda, że język przyjętego przez nas artykułu wiary nasuwa nam pewne wyobrażenia, ale właśnie w tym stopniu, w jakim sobie tę prawdę wyobrażamy, przechodzimy obok jej właściwego znaczenia. Ostatecznie nie możemy sobie wyobrazić logicznego związku pomiędzy oboma członami tego twierdzenia: „W Bogu są trzy Osoby a tylko jedna natura". I byłoby wielkim błędem o to się starać.

Jeżeli wierzysz i robisz prosty akt poddania się autorytetowi Boga, Który podsuwa ci z zewnątrz jakiś artykuł wiary za pośrednictwem Swego Kościoła, otrzymujesz od Niego jednocześnie dar światła wewnętrznego. Jest ono tak proste, że nie można go ująć w słowa, a tak czyste, że mówić o nim jako o doświadczeniu znaczyłoby je zbrutalizować. A jednak jest to

prawdziwe światło, wzbogacające intelekt człowieka doskonałością przewyższającą wszelką wiedzę.

Ten mrok wiary jest już argumentem, świadczącym o jej wyższości. Jest ona ciemnością dla naszych umysłów, gdyż o tyle przerasta ich słabość. Im więc doskonalsza jest wiara, tym zwiększa się jej ciemność. Im bardziej zbliżamy się do Boga, tym ona jest mniej rozrzedzona połowicznym światłem obrazów i pojęć, zaczerpniętych ze świata stworzeń. Nasza pewność wzmaga się z tą ciemnością, chociaż nie dzieje się to bez niepokoju a nawet przyrodzonego zwątpienia, bo nie łatwo jest trwać w pustce, w której nasze naturalne władze nie mają żadnego właściwego sobie oparcia. Ale tu na ziemi najpełniej posiadamy Boga w tej najgłębszej nocy, gdyż dopiero wówczas myśl nasza wyzwala się rzeczywiście od słabych, stworzonych świateł, które w porównaniu z Nim są mrokami i dopiero wtedy może nas całych zalać Jego nieskończone Światło, będące dla nas czystą ciemnością.

Na tym najdoskonalszym szczycie wiary Bóg nieskończony staje się Sam jedynym światłem pozostającej w mrokach duszy i posiada ją Swoją Prawdą. W tej jednej, niepojętej chwili najgłębsza noc staje się dniem a wiara przetwarza się w pojmowanie.

12. TRADYCJA I REWOLUCJA

Największym z paradoksów Kościoła jest to, że żyjąc tradycją jest jednocześnie z samej swojej istoty rewolucyjny. Ale jest to mniejszym paradoksem, niżby się z pozoru mogło wydawać, ponieważ tradycja chrześcijańska jest, w przeciwieństwie do każdej innej, żyjącą i stałą rewolucją.

Wszelkie ludzkie tradycje zmierzają nieuchronnie do zastoju, zaniku sił życiowych i rozkładu. Starają się utrwalać to, co nie może mieć wiecznego istnienia. Obejmują przedmioty i wartości, które czas niszczy bezlitośnie. Związane są z przemijającym i materialnym porządkiem rzeczy — z obyczajem, ubiorem, architekturą, poezją, z daną epoką i położeniem, które z konieczności muszą się zmieniać i ustępować miejsca innym.

Obecność silnego elementu konserwatywnego w Kościele nie powinna przesłaniać nam faktu, że tradycja chrześcijańska o pochodzeniu nadprzyrodzonym jest czymś biegunowo przeciwnym w stosunku do ludzkiego tradycjonalizmu.

Bo żywa tradycja chrześcijańska jest jak oddech fizycznego ciała. Odnawia życie usuwając produkty zastoju. Jest to bezustanna, spokojna rewolucja przeciwko śmierci.

Jak fizyczny akt oddychania podtrzymuje związek duszy z ciałem, chociaż materia tego ciała dąży stale do rozpadnięcia się i rozkładu, tak i tradycja katolicka utrzymuje życie Kościoła pomimo materialnych, ludzkich i społecznych czynników, które go będą obciążać, dopóki istnieje na tym świecie.

Katolicyzm opiera się na tradycji, ponieważ w chrześcijaństwie jest tylko jedna żywa doktryna — poza nią nie ma nowego Objawienia. Życiem Kościoła jest Prawda samego Boga, udzielona mu przez Ducha Świętego i nie ma żadnej innej prawdy, mogącej ją zastąpić i przelicytować.

Jedyna rzecz, która mogłaby wejść na miejsce tak intensywnego życia, to życie słabsze, rodzaj śmierci. Stała, wrodzona ludzkości skłonność do oddalania się od Boga i od tej żywej prawdy może być zrównoważona tylko przez ciągłe nawracanie do tradycji i odnawianie w sobie tego jedynego niezmiennego życia, które zostało wlane Kościołowi na samym początku jego istnienia.

A jednak ta tradycja musi być równocześnie zawsze rewolucją, gdyż z samej swej istoty jest odrzuceniem wartości i miar, do których ludzka namiętność jest tak silnie przywiązana. Przemawia ona do tych, co kochają pieniądze, rozkosze życia, poważanie u ludzi i władzę: „Bądźcie ubodzy, zejdźcie w najniższe kręgi społeczeństwa, zajmujcie ostatnie miejsca, żyjcie wśród tych, którzy są pogardzani, miłujcie bliźnich i służcie im, zamiast kazać im sobie służyć. Nie stawiajcie oporu kiedy was popychają, ale módlcie się za tych, co was krzywdzą. Nie szukajcie przyjemności, ale odwróćcie się raczej od rzeczy, podobających się zmysłom i wyobraźni, i w głodzie, pragnieniu i ciemności szukajcie Boga, wędrując przez pustynie, w które zapuszczać się wydaje się szaleństwem. Weźcie na siebie ciężar Chrystusowego Krzyża — to znaczy Chrystusową pokorę, ubóstwo, posłuszeństwo i wyrzeczenie się siebie a znajdziecie prawdziwy pokój duszy."

Dla tych, co nie przeżyli tych rzeczy osobistym doświadczeniem a widzą tylko zewnętrzną warstwę ludzkiego konserwatyzmu, dążącego do obrastania Kościoła tak jak morskie skorupiaki oblepiają się dookoła kadłubu okrętu — te słowa o rewolucji wydadzą się zapewne bezsensowne.

Każdy chrześcijanin z osobna i każda epoka Kościoła muszą odkrywać dla siebie te źródła życia chrześcijańskiego i ciągle do nich na nowo powracać.

Wymaga to podstawowego aktu wyrzeczenia się, którym przystajemy na konieczność wstępowania na drogę, wiodącą do Boga pod przewodnictwem innych ludzi.

Ta zgoda i poddanie się nie może się obyć bez ofiary i ostatecznie dopiero przy pomocy bożej możemy nauczyć się rozeznawać zeschłą, zewnętrzną powłokę formalizmu, która czasem obrasta Kościół, pochodzącą z ludzkiej natury jego członków, od wewnętrznego, twórczego nurtu Boskiego Życia, stanowiącego jedyną prawdziwą tradycję katolicką.

Istnienie dogmatów odstrasza ludzi, nie rozumiejących istoty Kościoła. Nie są oni w stanie pojąć, żeby jakaś religijna doktryna mogła być autorytatywnie i jasno stwierdzona i określona, nie stając się przez to samo statyczną, zastygłą i bezwładną i nie tracąc całej swej żywotności. Powodowani gwałtowną chęcią ucieczki od jakiegokolwiek systemu, chronią się w nieokreślony i płynny układ wierzeń, w którym prawdy rozwiewają się jak mgły i zmieniają się nakształt cieni. I w tym bladym, niewyraźnym półmroku myśli wybierają dowolnie pomiędzy widmami, starając się usilnie nie wywlekać ich na światło słoneczne, z obawy przekonania się o ich nierzeczywistości.

Obdarzają oni mistyków katolickich rodzajem sympatii i szacunku, gdyż sądzą, że te wyjątkowe jednostki wspięły się na szczyty życia kontemplacyjnego wbrew katolickim dogmatom. Głęboka łączność tych dusz z Bogiem wydaje się im sposobem ominięcia nauczycielskiego autorytetu Jego Kościoła, a nawet ukrytym protestem przeciwko przyznanej mu władzy.

Tymczasem w rzeczywistości święci doszli do głębokiej, istotnej, a zarazem najbardziej indywidualnej i osobistej znajomości Boga właśnie dzięki nauczycielskiej władzy Kościoła, drogą tradycji strzeżonej i przekazywanej przez ten autorytet.

Pierwszym warunkiem kontemplacji jest wiara, a wiara rodzi się z wewnętrznego przyzwolenia, jakie znajduje w nas Chrystus, nauczający przez Swój Kościół. *Fides ex auditu; qui vos audit, me audit.* „Kto was słucha, Mnie słucha".

Nie sądźmy, że sucha formułka definicji dogmatycznej wlewa sama z siebie światło w duszę katolickiego mistyka — to raczej wewnętrzne przyświadczenie, z jakim przyjmuje on treść tego dogmatu, pogłębia się i rozszerza w żywe, osobiste i nie dające się przekazać wniknięcie w nadprzyrodzoną prawdę. To pozna-

nie jest darem Ducha św. i przechodzi w Mądrość Miłości, dążącą do posiadania Prawdy w jej odwiecznej Substancji — to jest w Samym Bogu.

Dogmaty wiary katolickiej nie są tylko symbolami albo też jakimś racjonalistycznym ujęciem pewnych pojęć, uważanych przez nas dowolnie za szczególnie żywotne punkty, około których mogą powstawać i rozwijać się wartości etyczne. Tym bardziej błędne byłoby mniemanie, że jakakolwiek inna prawda, poza tą, jaką dogmat wyraża, jakakolwiek znana, pobożna myśl mogłaby obudzić w naszych duszach to niejasne poczucie moralne. Dogmaty wyznawane i nauczane przez Kościół mają zupełnie pozytywne, wyraźne i dokładnie określone znaczenie i ci, którzy otrzymali ku temu odpowiednie uzdolnienia, powinni je zgłębiać i starać się w nie wniknąć, jeżeli chcą prowadzić integralne życie wewnętrzne. Gdyż zrozumienie dogmatów jest bezpośrednią i zwykłą drogą do kontemplacji.

Każdy, mający w sobie te zdolności, powinien osiągnąć coś z dokładności i bystrości teologa w rozumieniu prawdziwego znaczenia dogmatu. Każdy chrześcijanin ma dążyć do tak głębokiej znajomości swojej religii, na jaką mu pozwala jego stan i stopień wykształcenia. To znaczy, że wszyscy powinniśmy oddychać czystą atmosferą ortodoksyjnej tradycji i umieć przedstawić swoją wiarę w odpowiedniej terminologii — i to terminologii, będącej świadomym wyrazem autentycznej treści ideowej.

A jednak nie osiąga się prawdziwej kontemplacji samym wysiłkiem umysłu. Przeciwnie, człowiek może zgubić drogę w lesie technicznych szczegółów, którymi musi się zająć fachowy teolog. Ale Bóg daje prawdziwym teologom ten głód wewnętrzny, zrodzony z pokory, który się nie zadowalnia zbiorem formuł i argumentów, i pragnie ściślejszego zbliżenia się do Niego niż to, do jakiego dochodzimy za pomocą analogii.

Ten pogodny głód ducha przenika przez powierzchnię wyrazów, a sięgając głębiej od ludzkich sformułowań tajemnic wiary, szuka w milczeniu, w pokorze, w osamotnieniu myśli i wewnętrznym ubóstwie tego daru nadprzyrodzonego poznania, nie dającego się ująć w słowa.

Ponad trudem argumentacji znajduje on pokój w wierze i pod zawiłością dyskusji zbliża się do pojmowania Prawdy, już nie za pomocą wyraźnych i ostro zarysowanych definicji, ale

w przeźroczystym półmroku prostego widzenia, stapiającego wszystkie dogmaty w jedno, niezróżniczkowane Światło, padające na duszę bezpośrednio z wyżyn wieczności Boga bez kształtowania się w pojęcia i bez uciekania się do symbolów, słów czy też podobieństw, zaczerpniętych z materialnego świata.

Wówczas Prawda jest Tym, Którego nie tylko znamy i posiadamy, ale Który nas zna i posiada. Tu teologia przestaje być zbiorem abstrakcji a przemienia się w Żywą Rzeczywistość, będącą samym Bogiem. On objawia się nam w zupełnym oddaniu Mu w ofierze całego naszego życia. Tu światło prawdy nie jest już czymś, co istnieje jako przedmiot naszej myśli, ale Kimś, w Którym i dla Którego wszystkie umysły i duchy istnieją. I tak teologia staje się dopiero wtedy naprawdę teologią, kiedy przekroczymy dziedzinę mowy i oddzielnych pojęć teologów.

Dlatego to święty Tomasz odłożył na bok z uczuciem znużenia swoją *Summa Theologica* przed jej wykończeniem, mówiąc, że to wszystko „jest tylko słomą".

A jednak kiedy mistyk wychodząc z kontemplacji powraca z głębin tego prostego oglądania i doświadczania Boga i próbuje przekazać je innym ludziom, ma obowiązek znów poddać się kontroli teologów, a jego język musi starać się o tę jasność, dokładność i wyrazistość, które tworzą łożysko tradycji katolickiej.

Strzeżcie się więc mistyków, twierdzących, że teologia scholastyczna „jest tylko słomą", zanim jeszcze potrudzili się o jej dokładne zbadanie.

13. PRZEZ POWIĘKSZAJĄCE SZKŁO

Podobnie, jak powiększające szkło skupia światło słoneczne w jedną, gorejącą wiązkę promieni, mogącą zapalić kawałek papieru albo suchy liść, tak i tajemnice Chrystusowe w Ewangeliach zbierają blaski bożego światła i ognia w jeden punkt, rozpalający duszę człowieka. I po to Chrystus urodził się i żył na świecie, umarł, zmartwychwstał i wstąpił na niebiosa do Ojca: *Ut dum visilibiter Deum cognoscimus, per hunc in invisibilium amorem rapiamur.* Poprzez soczewkę Swego człowieczeństwa rzuca On na nas promienie Ducha Świętego, tak że czujemy dotknięcie ich ciepła. Każde doznanie mistyczne zostaje też wlane w duszę ludzką poprzez Chrystusa-człowieka.

Bo przecież Bóg jest wszędzie. Jego prawda i miłość wypełniają cały świat, podobnie jak światło i ciepło słońca przenikają całą atmosferę. Ale tak jak promienie słoneczne same z siebie nic nie zapalają, tak i Bóg nie dotyka naszych dusz płomieniem nadprzyrodzonego poznania i doświadczenia, jak tylko poprzez Chrystusa.

Ale soczewka Jego człowieczeństwa wyszukuje dusze dobrze przygotowane, już wysuszone światłem i ciepłem bożym, gotowe do zapalenia się od tej skupionej wiązki promieni, którą jest łaska Ducha Świętego.

Normalna droga do kontemplacji prowadzi przez wiarę w Chrystusa, zrodzoną z uważnego rozpatrywania Jego życia i nauki. Ale właśnie dlatego, że wszelkie doznanie Boga przychodzi do nas poprzez Jezusa, nie znaczy to koniecznie, aby każdy mistyk zawsze i niezmiennie dochodził do kontemplacji przez takiego Chrystusa, jaki istnieje **w naszej wyobraźni.** Gdyż wyobraźnia jest tylko jednym ze sposobów przywodzenia nam na myśl przedmiotu naszej wiary. Nie musimy się więc koniecznie zmuszać do wystawiania sobie Chrystusa w takiej postaci, w jakiej żył na ziemi, lub jaką według naszego mniemania powinien był mieć tutaj, gdyż w rzeczywistości nikt przecież napewno nie wie **jak** On wyglądał.

Dawni autorzy piszący o życiu wewnętrznym upatrywali w tym pewną trudność, chociaż właściwie nie bardzo można zrozumieć, dlaczego miałoby to dla nas być jakimkolwiek problemem. Wiara w Chrystusa, w tajemnice Jego życia i śmierci jest fundamentem życia chrześcijańskiego i źródłem wszelkiej kontemplacji: nie ma tu żadnej innej alternatywy. Nikomu nie wolno usunąć ewangelicznego Chrystusa z swego życia wewnętrznego pod pozorem, że doszedł już teraz drogą wyższej kontemplacji do bezpośredniego kontraktu ze Słowem. Gdyż Chrystus-człowiek **jest** Słowem Bożym, chociaż Jego ludzka natura nie jest naturą Boską. Są one złączone w jednej Osobie i są jedną Osobą, tak że Chrystus-człowiek jest zarazem Bogiem.

Jeżeli znalazłeś jakiś rodzaj kontemplacji, który daje ci Jednego bez Drugiego — jesteś heretykiem.

Ale to nie wyobraźnia, lecz wiara jest dla nas tym źródłem nadprzyrodzonego życia, wiara nas usprawiedliwia, wiara prowadzi nas do kontemplacji. Człowiek sprawiedliwy żyje z wiary, nie z wyobraźni. Ta ostatnia może grać tu jedynie rolę

uboczną i przypadkową. Jeżeli potrzebujesz jej, żeby sobie lepiej uprzytomnić Chrystusa, w Którego wierzysz, użyj jej śmiało do tego celu. Jeżeli jednak możesz się ćwiczyć w wierze w Niego bez ciągłego uciekania się do Jego obrazu, tym lepiej: twoja wiara będzie prostsza i czystsza.

Niektórzy ludzie mogą bez trudu wycofywać się w głębie swoich dusz i odnajdywać tam w swej wyobraźni żywy obraz Chrystusa: jest to łatwy i dobry początek modlitwy. Ale innym się to nie udaje. Przeciwnie, wysiłek, jakim to opłacają, napełnia ich głowy wątpliwościami i roztargnieniem, które uniemożliwiają im modlitwę. A jednak równocześnie samo Imię Jezus lub niewyraźne, nieprzeanalizowane pojęcie Chrystusa wystarcza, ażeby wiara ich zaspokoiła się prostym i miłującym obcowaniem z Tym, Który przez Swoją Boskość jest rzeczywiście obecny w naszej duszy.

To miłujące obcowanie jest rzeczą o wiele realniejszą i bardziej wartościową niż to, do czego moglibyśmy dojść drogą wewnętrznych wyobrażeń, gdyż wizerunek Jezusa, jaki moglibyśmy sobie w ten sposób wytworzyć, pozostanie zawsze tylko obrazem, podczas gdy miłość, którą łaska Jego budzi w naszych sercach, wprowadza nas w bezpośredni kontakt z Nim, takim jakim On jest w rzeczywistości. Wszak to sam Jezus, działający wprost i osobiście Swoją wolą, sprawia, że ta miłość się w nas rodzi. I gdy tak miłością dotyka naszych dusz, działa na nas bardziej bezpośrednio i namacalnie niż jakiś przedmiot materialny mógłby nas poruszać i oddziaływać na nasz wzrok czy też inne zmysły. Przecież jedynym celem, dla którego rozmyślamy o Jezusie i zastanawiamy się nad przechowanymi w pamięci obrazami Jego postaci jest właśnie przygotowanie się do tego głębszego spotkania z Nim w miłości. Kiedy ta miłość zaczyna się w nas rozpalać, praca wyobraźni staje się zbyteczna. Niektórzy mogą ją dalej uprawiać — inni nie są do tego zdolni — jeszcze inni nie mają w tych drogach wyboru. Rób więc to, co może ci być pomocne a unikaj tego, co ci w tej dziedzinie przeszkadza.

Każdy z nas wytwarza sobie pewne pojęcie Chrystusa, które jest zawsze niepełne i niedoskonałe. Jest ono zrobione na naszą własną miarę. Jesteśmy skłonni do wyobrażania sobie Chrystusa na podobieństwo nas samych, jako wyraz naszych dążeń, pragnień i marzeń. Znajdujemy w Nim to, co chcemy odna-

leźć. Robimy z Niego nie tylko wcielenie Boga, ale także wcielenie ideałów, dla których my i nasze społeczeństwo i nasza cząstka tego społeczeństwa żyje w chwili obecnej.

Chociaż więc istotnie prawdziwa doskonałość polega na naśladowaniu Chrystusa i odzwierciedlaniu Go w naszym życiu, pójście za tym Chrystusem, Którego wytworzyliśmy sobie w naszej wyobraźni, może się okazać jeszcze nie wystarczające. Czytamy Ewangelie nie tylko po to, żeby wyrobić sobie w myśli obraz lub pojęcie Chrystusa, ale żeby wejść w nie, przebić się niejako przez słowa Objawienia i nawiązać przez wiarę żywy kontakt z Chrystusem, mieszkającym jako Bóg w naszej duszy.

Zagadnienie ukształtowania się Chrystusa w nas nie może być rozwiązane naszymi siłami. To nie jest jedynie sprawa przestudiowania Ewangelii, a potem wprowadzenia ich w czyn, chociaż i o to powinniśmy się starać — zawsze jednak w zupełnym poddaniu się Łasce bożej i pod jej przewodnictwem.

Bo jeżeli to odtwarzanie życia Chrystusowego w nas będzie polegać jedynie na naszych własnych pojęciach, sądach i wysiłkach, zagramy tylko rodzaj pobożnego przedstawienia, które w całości wypadnie tak sztucznie, martwo i sztywno, że zrazi i odstręczy całe nasze otoczenie.

Duch Boży musi nas sam nauczyć Kim jest Chrystus, ukształtować Go w naszych duszach i przemienić nas na Jego obraz. Gdyż ostatecznie ta przemiana w Chrystusa nie jest tylko sprawą osobistą: nie istnieje wielu Chrystusów, ale jeden Chrystus. Nie podlega On żadnemu podziałowi. I dla mnie więc przemienić się w Niego, to znaczy wejść w Życie całego Chrystusa, całego Mistycznego Ciała, utworzonego zarówno z Głowy jak z członków, Chrystusa i wszystkich, którzy są w Niego wszczepieni przez Ducha Świętego.

Przez łaskę i wiarę Chrystus urabia Swoją podobiznę w duszach tych, którzy Go miłują i równocześnie wchłania ich wszystkich w Siebie, ażeby w Nim byli Jednym. *Ut sint consummati in unum.*

A Duch Święty, Który jest życiem tego Jednego Ciała mieszka w pełni tak w całym Ciele jak i w każdym z Jego członków, tak że cały Chrystus Mistyczny i każda indywidualna jednostka jest prawdziwie Chrystusem.

Przeto jeżeli chcesz rozwinąć w swym sercu uczucia i usposobienia, jakie Chrystus miał w Swym ziemskim życiu sięgnij nie do wyobraźni, ale do wiary. Wejdź w ciemność wewnętrz-

nego wyrzeczenia, ogołoć duszę z wszelkich obrazów i pozwól samemu Chrystusowi ukształtować Się przez Swój Krzyż w tobie.

Ojciec i Syn, zamieszkujący głębie mej duszy, posyłają jej bezustannie Ducha Świętego, podobnie jak serce doprowadza życiodajną krew do wszystkich części ciała. A ten sam Duch Święty wciąga mnie z powrotem w Chrystusa i wiąże mnie w Nim z Ojcem, tak iż całe moje życie jest ukryte z Chrystusem w Bogu. Równocześnie jednak, nie tracąc Jego Ducha, odchodzę niejako od Niego, ażeby pracować około Jego dzieła i pełnić Jego wolę wśród ludzi. Lecz przychodzi czas, gdy, zależnie od Swojej woli, On znowu przyciąga mnie i wchłania w siebie.

Jeżeli mam w sobie to życie, to cóż mogą znaczyć dla mnie zewnętrzne warunki: cierpienie czy rozkosz, nadzieja czy strach, radość czy smutek? Nie są one moim życiem i nie wiele mają z nim wspólnego. Jakże mógłbym się lękać czegoś, co nie jest w stanie odebrać mi Boga i czemu miałbym pragnąć rzeczy, które nie mogą mi oddać Go w posiadanie?

Zewnętrzne wydarzenia nadchodzą i mijają, ale dlaczego miałyby mnie wzruszać? Dlaczego radość miałaby mnie podniecać a smutek przygnębiać, przyjemność mnie pociągać a cierpienie niepokoić — czemu życie miałoby dla mnie być miłe a śmierć straszna, jeżeli żyję jedynie życiem, które mnie wypełnia jako dar boży?

Czemu miałbym się bać utraty życia ciała, która i tak kiedyś musi nastąpić, kiedy posiadam życie duchowe i własną osobowość, których nie mogę utracić bez mej woli? Czemu miałbym się troszczyć, że przestanę być tym, kim nie jestem, jeśli zacząłem już choć w części stawać się tym, kim jestem? Czemu miałbym się trudzić i wysilać, żeby zdobywać przyjemności, nie mogące trwać ani godziny i wlokące za sobą zawód i cierpienie, gdy już posiadam Boga w Jego wieczystym szczęściu?

Pozyskanie tego życia i tego szczęścia jest w istocie najłatwiejszą rzeczą na świecie — trzeba na to jedynie wiary i miłości; a jednak ludzie marnują całe istnienie na przerażających wysiłkach i ciężkich ofiarach podejmowanych dla zdobywania rzeczy uniemożliwiających im prawdziwe życie.

Jest to jedna z najbardziej zasadniczych sprzeczności, jakie grzech wprowadził do duszy ludzkiej: trzeba się nam gwałtownie przezwyciężać, żeby nie trudzić się bezużytecznie dla osią-

gnięcia rzeczy gorzkich i pozbawionych radości a zmuszać się do pracowania nad tym, co jest lekkie i przynoszące szczęście, jak gdyby to było wbrew naszej korzyści. Linia najmniejszego oporu prowadzi nas wprost do klęski a czasem zrobienie tego, co powinno być najłatwiejsze, staje się najtrudniejszą rzeczą na świecie.

Dusze są jak wosk, czekający na pieczęć. Same z siebie nie osiągają swej właściwej osobowości. Życie ma je zmiękczyć i przygotować, zgodnie z wolą bożą, do otrzymania w chwili śmierci odcisku ich własnego stopnia podobieństwa do Boga w Chrystusie — to jest ich prawdziwym przeznaczeniem.

I to, między innymi, znaczy być sądzonym przez Chrystusa.

Nasza prawdziwa osobowość da się łatwo wycisnąć na wosku stopionym w ogniu woli bożej — jest wówczas tym, czym jej być przeznaczono. Ale na wosku zeschniętym, kruchym, twardym i bez miłości nie może powstać taki odcisk, gdyż spadająca nań pieczęć rozkruszy go na proch.

Jeżeli więc przez całe życie uciekasz od tego żaru, który miał cię zmiękczyć i przygotować do stania się naprawdę sobą, jeżeli za wszelką cenę starasz się uniknąć oczyszczenia i przetopienia w tym ogniu całej twojej natury — jak gdyby prawdziwa osobowość polegała na tym, żeby pozostać woskiem niepodatnym i stwardniałym — i tak w końcu pieczęć Chrystusowa spadnie na ciebie i rozgniecie cię. Nie będziesz miał właściwego sobie imienia ani rzeczywistego kształtu i to, co miało być twoim dopełnieniem, stanie się twoją zagładą.

Kapłan, oddany kontemplacji, może złączyć się głębokim i pochłaniającym go poczuciem współofiary z Hostią, leżącą przed nim na patenie, tak iż Msza będzie się niejako w nim odprawiała, nie tylko dopóki stoi przy ołtarzu, ale nawet kiedy odejdzie od niego, w różnych chwilach dnia i przy każdej pracy.

Piszę to, chociaż nie jestem jeszcze księdzem, ponieważ w pewnym stopniu odczuwałem to już, klęcząc jako ministrant na stopniach ołtarza. Przełamana Hostia spoczywa na patenie. I sam fakt, że jesteś w posiadaniu tej wielkiej tajemnicy, identyfikuje cię z tą Hostią i tym, co się tam dzieje. Bez słów czy też osobnych aktów przyświadczasz temu w głębi swej duszy samym trwaniem na miejscu i wpatrzeniem się w odprawiającą się na ołtarzu ofiarę.

Tam Chrystus przemienia twoje życie w Siebie samego i jak gdyby na kliszy wywołuje na nim Swoją fotografię.

Potem już to głębokie i przynaglające utożsamienie się z aktem o tak bezmiernym zasięgu i niewysłowionej wspaniałomyślności, skupiającym się jednak w jakiś sposób w twojej własnej duszy — ta nieustająca Msza — idzie za tobą wszędzie i w każdej okoliczności codziennego życia tajemnie ale stanowczo domaga się od ciebie przyzwolenia i zgody.

Jest to prawda tak nieogarniona, że prawie nie zaznacza swego istnienia. Nie może znaleźć wyrazu. Jest rzeczą jak najbardziej osobistą. Nie masz ochoty mówić o niej. Jest wyłącznie twoją sprawą.

I nawet rozpraszające czynności i obowiązki nie są w stanie jej naruszyć. W każdej chwili odnajdujesz w sobie tego bezimiennego Wspólnika, Który płonie w twej duszy niby ukryty, spokojny płomień.

Może nie zdołałbyś jednak tak wyraźnie zidentyfikować tej Obecności i jej ciągłego oddziaływania w tobie, gdyby się to przedtem nie działo uroczyście na ołtarzu; wtedy przynajmniej musisz już po łamaniu chleba rozpoznać Nieznajomego, Który był twoim towarzyszem wczoraj i przedwczoraj. I jak uczniowie z Emaus uświadomisz sobie jak słusznie serce pałało w tobie, gdy zajęcia codzienne mówiły ci o Chrystusie, Który przez cały ten czas żył, pracował i odprawiał Swoją Mszę w twojej duszy.

Tomasz Merton

tłumaczyła Maria Morstin-Górska

8/5.52

UWAGI O ANKIECIE „ZNAKU"

„Jakie książki ostatniego stulecia odegrały decydującą rolę w ukształtowaniu mego poglądu na świat oraz postawy moralnej?"

Temat ankiety w odpowiedziach uległ znacznym modyfikacjom. Pomijając już sprawę przekraczania chronologicznych ram tematu (znaczny procent uczestników zgodnie wymienia Pismo św., Wyznania, Myśli Pascala, utwory wielkich romantyków; wyjątkowo zostały też podane jako dzieła kształtujące światopogląd utwory Chopina i Beethovena), oraz niedostateczny u niejednego uczestnika krytycyzm w stosunku do lektury (podawanie po prostu książek ulubionych, budzących uznanie, ocenianych jako wartościowe albo czytanych ostatnio), — podkreślić trzeba bardzo częste zastrzeżenia, jakie budziło samo sformułowanie ankiety. Czy lektura **musi** brać udział (i to decydujący) w kształtowaniu światopoglądu i postawy moralnej? Czy w ogóle wpływ książki da się wyeliminować ze splotu tak różnorodnych wpływów oddziałujących na człowieka? Te pytania rozważa połowa przynajmniej uczestników ankiety. O ile drugie pytanie prowadzi co najwyżej do szeregu trafnych uwag o skomplikowaniu wpływów urabiających człowieka etycznie i światopoglądowo, lecz nie wyklucza bynajmniej wpływu lektury („sceptycy" wypowiedziawszy swe zastrzeżenia umieli przeważnie wyodrębnić i nazwać cały szereg książek w ten splot włączonych), o tyle pytanie pierwsze dało rezultaty bardziej znamienne, kwestionując praktycznie konieczność udziału lektury w decydujących procesach etycznych i umysłowych człowieka. Wśród uczestników ankiety wyodrębnia się cała grupa, zróżnicowana zawodowo (księża, profesorowie uniwersytetu, pracownicy umysłowi, zakonnica), która w stosunku do siebie ten rodzaj wpływu kwestionuje albo nawet zdecydowanie przekreśla, wskazując na olbrzymią wagę innych dziedzin, przede wszystkim atmosfery środowiska, oraz wpływu żywych ludzi, przede wszystkim jednostek będących twórcami i nosicielami pewnych idei, albo ich szczególnie wiernymi i gorliwymi realizatorami. Przewijają się kilkakrotnie w wypowiedziach nazwiska zasłużonych duszpasterzy (ks. Korniłowicz, ks. Szwejnic, ks. Hlebowicz). Tak otwiera się furtka na inne ważne zagadnienie: kształtowania światopoglądowego i etycznego w kontakcie z żywymi ludźmi. Przekracza ono jednak ramy

ankiety, a materiał zawarty w odpowiedziach nie uprawnia do szerszych wniosków. Podkreślić tylko trzeba, że odpowiedzi tego typu akcentują wpływ i wagę kontaktów nie tylko z jednostkami wybitnymi, przodującymi, lecz w ogóle z ludźmi żywymi, dającymi wiedzę o rzeczywistości w sposób stokroć bardziej bezpośredni i mocny niż książki. Oto wypowiedź kapłana, szczególnie znamienna dla tego „antyintelektualistycznego" typu: „Nie mogę sobie przypomnieć ani jednego wypadku, w którym by jakaś książka wpłynęła na mój światopogląd w sposób poważniejszy. Dom, szkoła, studia teologiczne i filozoficzne, pobyt za granicą i w tym wszystkim kontakt z żywymi ludźmi, to umacniało moje przekonania. Książki spełniały rolę informującą, pożyteczną bardzo, ale tak skromnie ukrytą, że wpływu ich na siebie zaobserwować nie mogę". Nie usiłując rozciągać tego spostrzeżenia poza krąg uczestników ankiety, zauważyć jednak trzeba, że w ramach tego kręgu wszystkie wypowiedzi typu powyższej (a jest ich kilkanaście), pochodzą od przedstawicieli starszego pokolenia, od ludzi, którzy w każdym razie studia uniwersyteckie prowadzili przed wojną. Wypowiedzi młodzieży (ok. 25% uczestników ankiety) zastrzeżeń takich nie zawierają.

Nie wszyscy uczestnicy podali jakiekolwiek dane o sobie. Na ogół jednak można się zorientować, że przy względnej szczupłości liczebnej wypowiedzi wachlarz wieku i zawodów jest szeroki. Najpoważniejsze ilościowo grupy to studenci i pracownicy naukowi, poza tym przeważnie inteligencja różnych zawodów, kilka osób spośród duchowieństwa. Wiek — od kilkunastoletnich chłopców do staruszki 80-letniej. Najcenniejszą rzeczą jest pewien wachlarz światopoglądowy, jakkolwiek ogranicza się do jednostkowych wystąpień. Sformułowanie zagadnienia ankiety nie sugerowało bynajmniej konieczności wyznawania światopoglądu katolickiego, i jakkolwiek przeważna część uczestników mówiła o wpływach kształtujących postawę świadomie katolicką, kilka osób przedstawiło wpływy kierujące na drogę marksizmu, ateizmu bądź filozofii niekatolickiej. Te wypadki są szczególnie pouczające, wrócimy też jeszcze do nich poniżej.

Czterysta blisko lektur, jakie wyciągamy z odpowiedzi na ankietę, rozpada się niemal po połowie na literaturę piękną i literaturę religijno-filozoficzną oraz nauki specjalne (ten ostatni dział reprezentowany był zresztą w odpowiedziach więcej niż skromnie). Jednakże przewaga wydaje się być po stronie literatury pięknej: tu bowiem spotykamy o wiele mniej nazwisk, a za to o wiele więcej głosów powtarzających się przy nich, dzięki czemu da się nawet wyraźnie wytypować pewne szczególnie „zasłużone" książki, bądź autorów i rodzaje wpływów. Natomiast obfitość nazwisk w dziale religijno-filozoficznym, spowodowana jest bogactwem pojedyńczych zestawień lektur, dzięki czemu większość z nich reprezentowana jest tylko jednym głosem. Na pierwsze miejsce wysuwa się zde-

cydowanie o. Jacek Woroniecki, po nim kolejno Maritain, Daniel-Rops („Dzieje Chrystusa"), Chesterton (essaye, The Everlasting Man, „Św. Franciszek"), św. Teresa od Dz. Jezus („Dzieje duszy"), K. Adam. Parokrotnie pojawiają się nazwiska Bougaud, Garrigou-Lagrange'a, Tillmanna, Morawskiego (przede wszystkim „Wieczory nad Lemanem"), Foerstera, Sawickiego, Papiniego, Joergenssena. Inni (Guardini, Rademacher, Dąbrowski—św. Paweł;—Charles, Merton, Gasparri, Szwejnic, Jeleński, Kozubski, Kasznica, Hlebowicz, Świeżawski, Bocheński, Mounier, de Lubac, Mercier) już tylko pojedynczo. Jako typ lektury prym trzymają tomiści — wymieniani najczęściej, jako główni twórcy światopoglądu. Maritain to przeważnie mistrz porządkujący obraz świata i zespół pojęć, formujący główne zarysy światopoglądu. Rolę pierwszych „wtajemniczających" w tomizm odegrali w tym zespole: o. Woroniecki („Katolickość tomizmu") i o. Bocheński („ABC tomizmu"). Niektórzy uczestnicy wymieniają po prostu ogólnie dzieła tomistów. Uderza natomiast w tym zestawieniu wybitne upośledzenie literatury z zakresu życia wewnętrznego. Poza „Dziejami duszy" to tylko Marmion, Charles (Modlitwa na każdą godzinę) — i Merton („Elected Silence"). Zwłaszcza w odpowiedziach młodzieży lektury tego typu nie spotyka się niemal zupełnie. Przyjmując, że część uczestników ankiety mogła się uchylać od zwierzeń z dziedziny tak bardzo osobistej, i pamiętając ciągle o szczupłym zakresie materiału, z całą ostrożnością można jednakże wysnuć pytanie, czy nie istnieją jakieś opory w psychice lub formacji umysłowej dzisiejszego pokolenia w stosunku do lektury tego typu pochodzącej z ostatniego stulecia (gdyż przy wykraczaniu poza ramy chronologiczne dość często powtarzają się „Wyznania")? I czy chodzi tutaj o brak zainteresowań dla tej dziedziny, czy może tylko o sposób formułowania pojęć i język, jakim są wyrażane? Dla ilustracji (bo nie dla sugerowania odpowiedzi), oto wypowiedź młodego chłopca o „Modlitwie" o. Woronieckiego: „Jest (ona) jedyną książką z tej dziedziny, którą przeczytałem bez przymusu i z pożytkiem. Ujęło mnie w tej książce uniwersalne potraktowanie modlitwy, powiązanie z życiem nie tylko osobistym, ale i społecznym, oraz jasne i proste a zarazem głębokie ujęcie istoty modlitwy, jej podział itd." Zupełnie pominięta jest również literatura apologetyczna. Duży natomiast nacisk kładą uczestnicy ankiety na rolę życiorysów ludzi współczesnych, wśród których na pierwszym miejscu stoi „Piotr Jerzy Frassati" Cojazziego. W uzasadnieniach podkreślona jest wielka wymowa współczesności i realności takich postaci. Dla młodzieży zasadniczą rolę odgrywają książki o zagadnieniach seksualnych. Chłopcy, którzy wymieniają „Wielką tajemnicę" Okońskiego, zgodnie podkreślają przekonujący racjonalizm i rzeczowość ujęcia. Książki te — pisze jeden z nich, stawiając obok Okońskiego „Podstawowe zagadnienia etyki płciowej" Kozub-

skiego — spełniły swoje zadanie, dając mi rzeczowy i zdrowy pogląd na sprawy dręczące młodzież w okresie dojrzewania. Nazywają rzecz po imieniu i nie zbywają ogólnikami i cnotliwymi wskazaniami potrzeby konkretnej i rozumowej wiedzy, jak to czynią książki T. Totha, Schilgena i tym podobne moralizatorskie książki".

Szereg książek pisanych przez niekatolików jest o wiele krótszy. Oddziaływanie ich idzie w dwu kierunkach: ku katolickiemu światopoglądowi przez pierwiastki „z natury swej chrześcijańskie" lub siłą budzonego sprzeciwu — bądź w kierunku odwrotnym od katolicyzmu, zgodnie z własną tendencją. Do pierwszych zaliczyć trzeba przede wszystkim dzieło Carrela „Człowiek istota nieznana".

Nasuwa się przy tym nieodparcie pewne spostrzeżenie: przedstawiciele pokolenia starszego wymieniają tę książkę jako jedno z pierwszych dzieł wskazujących swego czasu na niebezpieczeństwo zniszczenia istotnych proporcji w człowieku, — dzieło, które później pozostawiły za sobą całe szeregi nowych wypowiedzi na ten temat; natomiast najmłodsi uczestnicy ankiety przeważnie wymieniają samego tylko Carrela jako źródło swej wiedzy o człowieku. Takie spostrzeżenie stwarza pewną pokuse pesymistycznego wniosku co do zasobu lektur tych najmłodszych...

Do rzędu analogicznych (z kierunkiem na katolicyzm) wpływów zalicza się też w ankiecie wpływ Gandhiego, Bergsona (przyznanie równoważnej rzeczywistości dziedzinie duchowej pod wpływem lektury „Evolution créatrice" — choć dla innej znów uczestniczki ankiety ta sama książka stała się podstawą dla światopoglądu sceptycystycznego). Charakterystyczna też jest wypowiedź młodego chłopca na temat książki Kautsky'ego „O pochodzeniu chrześcijaństwa": „Książka, która nawraca na katolicyzm, przekonuje o autentyczności i historyczności postaci Chrystusa, pokazuje, na jak kruchych podstawach opierają się zarzuty przeciw nadprzyrodzonemu charakterowi wiary katolickiej". Tu już działa prawo kontrastu, sprzeciwu. Odnośnie do filozofii niekatolickiej trzeba podkreślić pewne zaznaczające się w niektórych wypowiedziach zainteresowanie filozofią hinduską (wypowiedź uznająca religię jogów za treść całego swego światopoglądu) i zagadnieniami historii religii i religioznawstwa traktowanymi w sposób laicystyczny, wyłącznie wg. przyrodzonych kryteriów (m. in. parokrotnie wymieniają uczestnicy „Wielkich wtajemniczonych" Schurégo).

Marksistów umieszczamy na pograniczu filozofii i zagadnień specjalnych, gdyż uczestników ankiety interesowały głównie ich teorie społeczne. Rozpiętość stosunku sięga tu od liczenia się z faktem, prowokującym do szukania odpowiedzi na te same problemy w duchu własnego światopoglądu, poprzez wyszukiwanie pierwiastków rzucających prawdziwe światło na zagadnienia związane ze światopoglądem („Jako kato-

liczce zrobił mi wiele dobrego marksizm — pisze wybitna intelektualistka. — Nauczył patrzeć historycznie na różne bolesne momenty w życiu Kościoła katolickiego; dzięki temu wyraźnie zarysowała mi się granica tego, co boskie a tego co ludzkie"), aż do jednostkowej wśród wypowiedzi próby przyjęcia całej teorii materializmu historycznego i dialektycznego, jako jedynej drogi prowadzącej do realizacji takich warunków, w których można będzie żądać od człowieka wysokiej etyki.

W dziedzinie zagadnień społecznych prawie wszyscy młodzi wymieniają encykliki społeczne, zdając sobie przy tym przeważnie sprawę z ich historycznego już dziś znaczenia. Dalsze pozycje w tej dziedzinie to już jednostkowe tylko przykłady. Z zagadnień fizyki duże zainteresowanie budzą dzieła Jeansa (również przeważnie wypowiedzi młodych).

*

Dziedzina literatury pięknej w wypowiedziach ankietowych da się scharakteryzować o wiele bardziej syntetycznie. Światopogląd przeważającej większości uczestników kształtował się na podstawie dzieł powieściowych i poetyckich wokół trzech głównych osi: patriotyzmu, pojmowanego przede wszystkim jako poczucie godności i jedności narodowej (stąd waga podbudowy historycznej) — sprawiedliwości społecznej — świętości, bądź realizowanej przez ludzi, bądź jako zagadnienia wewnętrznego sensu rzeczy.

W pierwszym dziale na pierwszym miejscu stoi bezapelacyjnie Sienkiewicz. Trudno nawet mówić o jego specjalnym związku z przedstawicielami któregoś pokolenia (choć oczywiście związek pokolenia starszego z twórczością wielkich pisarzy pozytywizmu i Młodej Polski jest o wiele silniejszy), gdyż głosy wymieniające jego dzieła należą do każdego wieku i zawodu. Za Sienkiewiczem idzie Berent (tematyka historyczna) i Gołubiew; mistrzem patriotyzmu nowoczesnego okazuje się Wyspiański (najczęściej wymieniane „Wesele"). Sprawiedliwości społecznej, jej konieczności i wielkości, uczy przede wszystkim Żeromski. Zagadnienie świętości jest w odpowiedziach najszerzej uwzględniane. Jedno z pierwszych miejsc zajmuje tu — dość niespodziewanie — „Quo vadis", dla wielu (przeważnie młodych) uczestników ankiety, będące pierwszym przedstawieniem powieściowym problemu życia według wiary i związanych z tym trudności. Dalej spotykamy tu (mniej więcej w kolejności według liczby głosów): „Klucze królestwa" Cronina i „Chwałę córy królewskiej" Marshalla, „Pamiętnik wiejskiego proboszcza", „Bez oręża", „The Power and the Glory" Greene'a, „Wybrańców gwiazd", niektóre książki Mauriaca. Etyki w świeckim ujęciu, ale nie mniej głęboko, uczy wielu uczestników Conrad. Osobną pozycję ma dość często wymieniany Werfel („Pieśń o Bernadecie"), który w przekonujący sposób zapoznaje wielu (zwłaszcza

młodych) czytelników z problemem cudowności w katolicyzmie, i „Krystyna córka Lawransa" Undset, pociągająca wielu problemem walki z łaską i o łaskę, stawianym w sposób szczególnie szczery i otwarty.

Zwrot do dziedziny nadprzyrodzonej w katolicyzmie zaznacza się w wypowiedziach najwyraźniej przez wysuwanie na pierwsze miejsce w dziale poezji — Claudela, a zaraz potem Norwida, Lieberta, wierszy s. Nulli — utworów o różnej skali artystycznej, ale porywających swym potężnym ładunkiem wiedzy o sensie i wymiarze wewnętrznych warstw rzeczywistości. Wpływ innych poetów (wymienianych już tylko sporadycznie: Baczyński, Tuwim) — ogranicza się przeważnie do zakresu wrażeń estetycznych. Wyjątkiem — wpływ filozofii Kasprowicza, sygnalizowany przez niektóre wypowiedzi (przeważnie pokolenie lat 1900-nych) i wyjątkowo podany przez jednego z młodych wpływ dynamizmu rewolucyjnego Majakowskiego.

Na uwagę zasługuje podkreślany w wielu wypowiedziach wpływ lektury dzieciństwa: powieści młodzieżowych, przeważnie podróżniczych i egzotycznych, takich jak książki Coopera, Londona, Grey Owla itp. Budzą one szacunek dla postawy etycznej, pojmowanej bardzo po świecku i bardzo szeroko, ale w każdym razie akcentującej takie wartościowe cechy, jak odwaga, koleżeństwo, przedsiębiorczość itd.

Osobnym zagadnieniem jest „obosieczność" niektórych książek. W różnych wypowiedziach o tej samej książce spotykamy sądy krańcowo różne. I tak jedna z uczestniczek ankiety uważa „Jana Krzysztofa" i „Duszę zaczarowaną" za swoich nauczycieli prawdziwej miłości człowieka — gdy kto inny właśnie tę ostatnią wymienia jako utwór, który obok innych przyczynił się swego czasu do zatarcia świadomości wyraźnej granicy pomiędzy dobrem a złem. Podobnie różnorakie są sądy o Dostojewskim: jako wywierającym wpływ destrukcyjny („Zbrodnia i kara") albo konstruujący. A zatem relatywizm i brak prawdy istniejącej w dziele obiektywnie? Zagadnienie zbyt szerokie do omawiania go tutaj — w sensie uwag marginesowych zaznaczyć tylko trzeba dwa czynniki mające w nim swój wcale nie uboczny udział: sprawę dojrzałości do danej lektury (wypowiedź o negatywnym wpływie „Duszy zaczarowanej" podkreśla, że działo się to w okresie młodości) i umiejętności czytania obiektywnego, z nastawieniem uniwersalistycznym. Przykładem w materiale ankiety wypowiedzi wymieniające dzieła Zoli, jako książki o wpływie światopoglądowo dodatnim: „Lourdes" jako — wbrew autorowi — najwymowniejszą naukę o sensie katolicyzmu, „Germinal" — jako jaskrawe i wstrząsające uświadomienie potrzeby etyki i warunków umożliwiających jej osiągnięcie. Podobnie odczytywano France'a, Flauberta — jako... nauczycieli światopoglądu i etyki katolickiej.

Oczywiście wpływ literatury pięknej jest jeszcze dużo bardziej różnorodny, nie wyczerpuje się w powyższym schematycznym ujęciu. Spotyka się w wypowiedziach ponadto nazwiska Parandowskiego („Niebo w płomieniach"), Wybranowskiego — niektórzy wymieniają zbiorowo powojenną powieść katolicką. Zawieyski ma osobną kartę przede wszystkim jako autor „Owocu czasu swego", nadto „Drogi do domu" i „Rozdroża miłości". Prus i Dobraczyński („Faraon" i „Najeźdźcy") budzą zastanowienie swym stosunkiem do problemów polityki. Prus jest ponadto uważany za mistrza prawdziwej mądrości i pogody życiowej.

Ogólnie w tym dziale obok książek o tematyce ściśle katolickiej spotyka się przede wszystkim dzieła odznaczające się humanistycznym stosunkiem do świata, ukazujące wielkość człowieka w sposób odpowiedzialny i poważny. Ich wymienienie wydaje się być świadectwem szukania wiedzy o religii i wiedzy o człowieku.

Materiał ankiety nasunął jeszcze jeden problem, w sformułowaniu zagadnienia nie zawarty, a mianowicie rolę czasopism w kształtowaniu światopoglądu i postawy moralnej. Okazuje się, że jest ona poważna, zwłaszcza jeśli chodzi o okres powojenny. Wielu czytelników, zwłaszcza młodych wymienia czasopisma — przede wszystkim katolickie — jako czynnik, który na równi z książkami, a czasem nawet bardziej niż książki wpłynął na urabianie światopoglądowe i etyczne. „Czytałem to i owo — pisze młody chłopiec — ale wpływ przeczytanych książek nie był zbyt wielki — a cóż dopiero decydujący. Wydaje mi się, że pojedyncza książka nigdy by tego decydującego wpływu na mnie nie wywarła. Rolę tę — w stosunku do mnie — spełnił „Znak"... Prócz „Znaku" nie mały wpływ wywarł na mnie „Tygodnik Powszechny", a później i „Przegląd Powszechny"... To był mój uniwersytet, bo tu nie tylko utrwalał się mój światopogląd, ale tu również zdobywałem wiedzę ogólną". W innej zaś wypowiedzi czytamy: „Ogromną rolę w ścieraniu się poglądów i kształtowaniu odegrała lektura już nie książek, ale szeregu broszur i artykułów czasopism (tu oprócz prasy katolickiej wymienione „Problemy", „Świat i Życie" i „Kuźnica"). Dawały mi one potrzebne argumenty, wyjaśniały szereg trudności i walnie przyczyniły się do tego, że jestem dzisiaj mimo wielkiego kryzysu na tle wiary — katolikiem. W najgorszym wypadku dawały mi one przynajmniej tę pewność, że poglądy przeciwne nie są bardziej słuszne aniżeli moje własne".

Materiał zawarty w wypowiedziach na ankietę jest ciekawy i różnorodny, ale niestety zbyt szczupły, aby pozwalał na wysnuwanie jakichkolwiek schematów statystycznych czy też przekrojów typujących z dziedziny współczesnego życia intelektualnego w Polsce. Ma on znaczenie jedynie jako wycinkowa informacja, dotycząca struktury duchowej i tendencji umysłowych pojedynczych członków społeczeństwa. Tu

i ówdzie poczynione próby syntetyzujące, wyodrębniające pewne grupowe tendencje czy upodobania, mogą mieć co najwyżej charakter sugestii dla przyszłego badacza tych zagadnień, rozporządzającego dostateczną ilością materiału.

Oto jeszcze jedna z nich na zakończenie, jak wszystkie poprzednie opatrzona znakiem zapytania. Odnosi się ona do grupy wypowiedzi młodzieżowych. Wypowiedzi te znamionuje przeważnie przemyślenie podawanych lektur i świadomość zainteresowań (zwłaszcza w dziale zagadnień społecznych) — ale równocześnie uderza na ogół szczupłość tej lektury. Niepokój i wątpliwości rodzą się zwłaszcza przy wypowiedziach mówiących o przemianach światopoglądowych. Oto student, który, jak stwierdza, doszedł ostatecznie do wniosku, że religia i nauka nie mogą się w żaden sposób pogodzić i w konsekwencji tego wniosku przyjął postawę ateisty — wymienia jako decydujące lektury, które go do tego kroku doprowadziły, popularyzatorską broszurkę Michajłowa „Jak powstało życie na ziemi" i artykuł nie zapamiętanego autora z przedwojennego miesięcznika „As". Inny znów, z godną szacunku odpowiedzialnością i przejęciem rozważający swój stosunek do marksizmu, dwie tylko lektury podaje jako te, które go o słuszności drogi marksistów przekonały: „Manifest komunistyczny" i „O materializmie dialektycznym i historycznym" Stalina. Tego typu wypowiedzi każą zastanawiać się nad poważnym problemem rozległości wymagań poznawczych i zasięgu wiedzy młodego pokolenia. Być może przy bliższym zbadaniu sprawy okazałyby się one tylko rażącymi wyjątkami. Rzecz w każdym razie na pewno godna takiego zbadania.

Józefa Golmont

Zgodnie z założeniem ankiety zamieszczamy również i odpowiedzi obce nam (całkowicie lub w dużej mierze) światopoglądowo. Jasną jest rzeczą, że także wypowiedzi deklarujące się jako katolickie nie zawsze pokrywają się ze stanowiskiem naszego zespołu.

ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ

Jan Parandowski (Warszawa)

Tego rodzaju ankieta ma jedną zaletę: zmusza do rachunku z samym sobą, ale żeby na nią odpowiedzieć jak należy trzeba by całego rozdziału autobiografii.

Rozważając postawione pytania nie znalazłem ani jednej książki z ostatniego stulecia, której mógłbym przypisać „decydujący wpływ w ukształtowaniu mego poglądu na świat oraz postawy moralnej". Jeślibym miał wymieniać takie książki, nie byłyby one z tego wieku.

Znalazłem w papierach kartkę, na której w jakimś momencie zacząłem sobie notować najbliższych mi towarzyszy myśli, — jak widzę urwałem ten rejestr nagle — zapewne coś innego odwróciło moją uwagę — nie doszedłem nawet do dwudziestu, ale i w tej fragmentarycznej galerii jest absolutna przewaga dwudziestu kilku wieków, poprzedzających ostatnie stulecie. I sądzę, że u wielu jest podobnie.

Tak np. poezja. Najgłębsze przeżycia, jakie są z nią związane, zawdzięczam utworom, powstałym przed r. 1850. Tam przecież jest cała nasza wielka poezja, a dalej Byron, Keats, Goethe, Szekspir, Dante, tragicy greccy, Homer.

Dziwię się, że w ankiecie nie ma osobnej rubryki: dramat. Przypuszczam, że niejeden mógł właśnie w teatrze przeżyć wstrząsające momenty, które się głęboko wryły w jego umysłowość. Sam najwięcej — jeśli mówić o ostatnim stuleciu — zawdzięczam Wyspiańskiemu i Ibsenowi, chociaż Ibsena znam z książki, bardzo mało z teatru, który go się wyrzekł, co jest dla mnie niezrozumiałe.

W rubryce: powieść gromadzi się różnorodne towarzystwo: Sienkiewicz, Żeromski, Prus, France, Conrad, Flaubert, w różnych okresach mego życia odkrywani lub uwielbiani.

Religia i filozofia to w mojej lekturze dawne i bardzo dawne wieki, nie umiałbym tu wskazać żadnej książki z ostatniego stulecia, która miała na mnie wpływ decydujący, bo nawet Schopenhauer, z którym w latach studenckich blisko obcowałem, właściwie wykracza poza tę datę.

Nauki specjalne dostarczają każdemu budulca, z którego się tworzy różne części tego, co nazywamy poglądem na świat, ale czy można tu mówić o jakimś jednym dziele? W swoim czasie ze szczególną uwagą słuchałem Ruskina, a nie mniej Hipolita Taine'a, gdy go jednak dziś otworzę, mam wrażenie, że i wtedy podbijał mnie tym, co zawsze stanowi jego urok — wdziękiem stylu.

Prof. Lech Niemojewski (Warszawa)

...Ogólnie rzecz biorąc, oddziaływali na mnie raczej sami autorzy, aniżeli ich książki czy bohaterowie. Zwłaszcza byłoby mi trudno wskazywać określone tytuły dzieł. Zawsze interesował mnie bardziej sam autor i to niekoniecznie widziany poprzez jego dzieło. Wychowałem się w atmosferze tak skondensowanego intelektualizmu, że jako najmłodszy w rodzinie byłem ustawicznie przerazony ilością tego, co naokoło mnie czytano, a zwłaszcza na jakim poziomie, w porównaniu z moimi dziecinnymi horyzontami. Nic nie rozumiałem. Ciążyło nade mną ogólne przekonanie, że syn poety i uczonego i to w dodatku biblisty i polonisty, a w wolnych chwilach publicysty i działacza społecznego, powinien znać wszystko, rozumieć wszystko, co się wkoło niego działo, bez względu na to, czy był jeszcze pędrakiem czy też wyrostkiem nabierającym biegłości w grze w palanta lub kukso.

Nie usiłowałem nawet nadać jakiegokolwiek innego kierunku moim zainteresowaniom, jak tylko... rysunek. Matka była z tego bardzo zadowolona. Toteż, kiedy z wielkim trudem zdałem maturę, dostałem od niej w nagrodę za mój, wątpliwej wartości „triumf", „Historię malarstwa" Macfalla w przekładzie Kasprowicza.

Moje „oczytanie" było oparte na Sienkiewiczu i Prusie (pomijam Szerloka Holmesa). Byłem pod urokiem pana Zagłoby, Chilona Chilonidesa i „starego subiekta" p. Rzeckiego. Kiedy ojciec mój dostał od Reymonta jego „Trylogię" z piękną dedykacją (Trylogię tę wyszabrował mi jakiś bibliofil wraz ze wszystkimi innymi książkami ozdobionymi autografami autorów, podczas Powstania Warszawskiego) już jako formujący się kandydat na architekta i grafika, poddałem się górnej i chmurnej poezji prozy reymontowskiej. „Chłopi" wtedy mi się nie podobali.

Natomiast zawładnął mną Wyspiański. Jego „Noc Listopadowa" i „Warszawianka", dokonały cudu. Pracowałem wówczas, przez lat parę, nad inwentaryzacją pomników architektonicznych epoki Stanisławowskiej. W Pałacu Łazienkowskim oraz w Teatrze na Wyspie, który figurował na okładce „Nocy" znałem każdy załamek muru. Czar poetycki Wyspiańskiego sprawił, że w moim umyśle Łazienki sprzęgły się na amen z rokiem 1831 a nie z latami 1784—1785. Nieszczęsny twórca „Stylu Stani-

sława Augusta" usunął się w moim sercu na trzeci plan. I pomimo, że wydałem dwa studia o architekturze Łazienek, moje „credo" było wyrażone znacznie później w studium zatytułowanym „Wyspiański-architekt". Podczas pierwszej okupacji niemieckiej Teatr Polski w Warszawie wystawił „Noc Listopadową", „Warszawiankę", a potem „Dziady", wszystko pod reżyserią Zelwerowicza i wtedy... zaraziłem się teatrem: Szekspir, Molier i inne widowiska upajały mnie.

Aby zakończyć moje związki z poezją, wymienię Claudela, a w szczególności „Annonce faîte à Marie", skąd wziąłem dewizę mojego późniejszego życia: *„Ce n'est point à la pierre de choisir sa place, mais au Maître de l'oeuvre qui la choisie"*.

Sprawy religii i filozofii wymagałyby odrębnego i bardziej szczegółowego omówienia, ale teraz jest jeszcze przedwcześnie, aby je rozstrzygać, a nawet definiować. Chociaż doktoryzowałem się u prof. Władysława Tatarkiewicza, to zgodnie z moją tradycją, nie należałem do tych uczniów, których nazwiska wymieniałby z dumą. Raczej, mówił o mnie „ciepło", gdyż mnie lubił „pomimo wszystko". W zakresie filozofii religijnej, jak i w ogóle filozofii, mogę wymienić zaledwie prace Maritaina. Jego „Science et Sagesse" oraz „L'Art et la Scholastique", stały się doskonałym uzupełnieniem długich rozmów, jakie prowadziłem ze ś. p. księdzem rektorem Edwardem Szwejnicem podczas naszego (a mego pierwszego) pobytu w Rzymie z racji „Anno Santo" w 1925 r. Tam i wtedy, może skutkiem tych rozmów, wziąłem ostateczny rozbrat z „pozytywizmem", w którym wzrosłem, by z całą odwagą poddać się problematyce „Duszy zaczarowanej" a poniekąd, zapomnianych już dzisiaj, „Drzwi zamkniętych" Tadeusza Ritnera.

Nieco wcześniej wpadła mi w ręce osławiona dzisiaj i niepotrzebnie pogardzana książka Le Corbusiera „Vers une Architecture". Jechałem do Rzymu w roku 1925 pod wrażeniem rozdziału tej książki, zatytułowanego: „La leçon de Rome". Jak najstaranniej odwiedzałem wszystkie, wskazane tam miejsca, w uszach brzmiały mi hasła: *„l'architecture est au delà des choses utilitaires"* albo *„la passion fait des pierres inertes un drame"*. Zacząłem od Rzymu antycznego tak jak zalecała książka, ale w „Rome Byzantine", a szczególniej w S. Maria in Cosmedin zabiło mi serce. „Bocca della Verità" nie zawiodła mnie. Włożyłem rękę do zagadkowej paszczy z kamienia. Pozostała nadal otwarta. Zrozumiałem. Intencje moje wyrażały Prawdę.

W kilka lat później skontrolowałem w Konstantynopolu i w Atenach słuszność innych rozdziałów tej samej książki. Pogłębiłem mój sentyment do Bizancjum, o którym nic prawie nie wiedziałem, a o którym dzisiaj wiem nadal nie wiele więcej. Zasugestionowany przez Le Corbusiera wziąłem się do czytania dzieła Choisy o Architekturze histo-

rycznej. Podziałało na mnie tak silnie, że z niego uczyniłem fundament pracy habilitacyjnej. Nawet „Filozofia sztuki" Hipolita Taina, dzieło rewolucyjne przed 90 laty, nie mogło zachwiać utrwalonego wtedy mego poglądu. Idąc tym szlakiem, wziąłem się do F. L. Wrighta i byłem rzetelnym jego wyznawcą, aż nieco zachwiały mną jego „Rozmowy z Buddą", może już zbyt „amerykańskie". Powiadają, że Wrightowi „wszystko" wolno bo... ma 80 kilka lat.

Po Choisym zacząłem się uczyć. Było coprawda trochę za późno. Miałem już nominację na profesora historii architektury... Jak do tego przyszło? Sam nie wiem, podobno było to zaleceniem ś. p. prof. Stanisława Noakowskiego. Noakowski nie pisał prawie wcale, wyłącznie rysował. **Ankieta „Znaku" nie przewiduje rubryki dla rysunków. To poważna luka.** Hieroglify to także pismo, ale pismo o walorze plastycznym. Nie widzę granicy pomiędzy hieroglifami a biblią obrazkową" z Monreale lub S. Marco w Wenecji. **Z obrazów, zwłaszcza bizantyjskich, wyczytałem więcej, niż z niejednej książki.** Ale w dodatku obrazy te były namalowane przed rokiem 1850! Hélas! Nowy powód, żeby nie wprowadzać ich do ankiety!!

Kiedy w przedwojennych „Arkadach" wyczytałem oświadczenie Parandowskiego, że „Polska leży nad morzem Śródziemnym", zawołałem jak Indianie na widok Krzysztofa Kolumba lądującego na brzegu amerykańskim: — Wiwat! Jesteśmy odkryci!

— Czy to, co napisałem moze uchodzić za odpowiedź na ankietę? Chyba nie. Raczej byłoby to blade echo wzbudzone „Wołaniem Kamieni" Hanny Malewskiej.

Brzmi to silniej w „Godzinie Śródziemnomorskiej". A jeżeli moje echo odpowiedziało tak słabo, to jestem przekonany, że „Maître de chantier" wybrał dla opoki mego serca bardzo poślednie miejsce. A co do mnie, nie ośmieliłbym się prosić o godniejsze.

Halina Dernałowicz (Warszawa)

Nie mogę powiedzieć, żeby jakakolwiek książka odegrała decydującą rolę w ukształtowaniu mego poglądu na świat, — działał tu szereg czynników, między innymi książki z najrozmaitszych dziedzin.

W okresie dzieciństwa i wczesnej młodości najsilniej reagowałam na **książki o treści patriotycznej i społecznej.** Poezje Konopnickiej, Staffa, spuścizna trzech wieszczów, powieści Orzeszkowej, Sienkiewicza, Żeromskiego były wówczas dla mnie przeżyciem.

Jedną z pierwszych książek religijnych, które przeczytałam, były **Dzieje duszy św. Teresy od Dzieciątka Jezus.** Książka ta zaważyła u mnie nie tyle na mym światopoglądzie, co wywołała zdecydowany zwrot w mej postawie moralnej. Pod jej wpływem skrystalizowały się wówczas

we mnie na wpół uświadomione pragnienia w połączeniu z dążeniem do głębszego życia wewnętrznego. **Ukształtowanie światopoglądu katolickiego** zawdzięczam w późniejszym już wieku głównie konferencjom ks. Korniłowicza i ks. Journet, **książkom kard. Marcier, Garrigou-Lagrange** (w szczególności Les trois âges de la vie intérieure), **Maritain** itp.

Z literatury pięknej pozostawiły trwały ślad w mej pamięci **sztuki Claudel'a** (w szczególności L'Annonce faîte à Marie, Le Partage de Midi, Le Soulier de Satin) poezje S. Nulli, a ostatnio **powieść Gołubiewa** Bolesław Chrobry, porywająca zarówno swą artystyczną formą jak i dynamizmem wewnętrznym, a w sposób niesłychanie realny odtwarzająca czasy tak bardzo nam już odległe.

Ks. Wacław Eborowicz (Rawicz)

Przeszukałem w mej pamięci różne, decydujące fazy swego rozwoju i... niestety, choć książki pomagały, jednak **nigdy** nie decydowały. Decyzję sam podejmowałem. Wyrosłem w środowisku, w którym krzyżowały się a **czasem i ścierały dwa odmienne prądy**: żarliwej wiary, a nawet niestety wpadające **w fideizm**, a zdrugiej strony pewnego indyferentyzmu, pozytywizmu równie modnego na początku XX w. Sam musiałem sobie rozwiązywać te zagadnienia. Pomocą służyły mi: 1) **Bougaud**, Dogmaty Credo, 2) **Adam**, Istota katolicyzmu, 3) **Adam**, Jezus Chrystus, 4) **Woroniecki**, Królewskie kapłaństwo, 5) **Marmion**, Chrystus życiem duszy, 6) **Wyznania Augustyna.**

Prof. Władysław Szafer (Kraków)

Pragnąc dać rzetelną odpowiedź na ankietę muszę stwierdzić, że nie przypominam sobie żadnej **książki** z czterech wymienionych dziedzin, o której mógłbym powiedzieć, że „odegrała ona decydującą rolę w ukształtowaniu mojego poglądu na świat oraz postawy moralnej". Mój pogląd na świat kształtował się przede wszystkim pod wpływem wielkich zjawisk przyrody (ocean, pustynia, step, lodowce, wulkany) i swoich własnych badań naukowych, a dopiero na drugim miejscu wpływ na mnie mieli wielcy ludzie, z którymi się w życiu spotykałem (Prof. Raciborski, Prof. Smoluchowski, X. Prof. Michalski, Prof. M. Limanowski, Prof. J. G. Pawlikowski i in. — z obcych zwłaszcza Prof. R. Wettstein, Prof. J. Braun-Blanquet, Prof. L. v. Post, Prof. C. Schröter i in.). Czytałem książki, które oczywiście pozostawiały we mnie mniej lub więcej trwały ślad, — ale żadna nie miała **decydującego** wpływu na mój światopogląd, chociaż są między nimi takie, które tak mi się „podobały", że potrafię cytować z pamięci całe ich ustępy.

X. Aleksander Fedorowicz (Laski)

...W ostatnich latach gimnazjum byłem przez długi czas pod silnym bardzo wrażeniem książki Schryversa „Oddanie się Bogu". Mam wrażenie, że ta książka przyczyniła się znacznie do pogłębienia mojego już i przedtem żywego stosunku do Boga. Z książek dawniejszych zawdzięczam wiele Summie Teologicznej św. Tomasza, którą znam wprawdzie tylko fragmentarycznie nie mniej jednak znalazłem w niej wiele światła, które wniosło ład w moje pojęcia.

Stanisław K. Rostworowski (Kraków)

Należę do pokolenia, które w dużej mierze kształtowane było przez różnojęzyczną prasę światową, miesięczną, tygodniową, naukową i nienaukową. W gronie znajomych moich dyskutowany był ongiś problem wpływu słowa drukowanego; owóż wedle zdania św. pamięci Adolfa Bocheńskiego (zginął na polu chwały, pod Anconą, jesienią 1944 r.) trwały wpływ na umysłowość współczesną wywierają raczej książki niż artykuły prasowe lub ulotki, przy czym wedle jego spostrzeżeń mocniejsze wybicie stempla na zwojach mózgowych wymaga dzieła o formacie nie mniej niż 300 stron in octavo!

Co do mnie, nad lekturę, przekładałem często żywe słowo, ścierające się w dyskusji, przy czym równie odkrywcze bywały mi rozmowy z ludźmi niewykształconymi, jak i te które miewałem sposobność prowadzić z najwybitniejszymi umysłami tego świata.

Z ludzi „prostych" (obyśmy wszyscy prostymi być umieli!) najwięcej bogactw prawdy przyniosły mi rozmowy z fachowcami, wedle zaś stanu raczej z ojcami rodzin niż kawalerami.

Rozmowy z ludźmi nauki dały mi bardzo wiele, przy czym mniej zawdzięczam fachowcom, więcej zaś umysłom umiejącym myśleć generalnie i obznajmionym z wszystkimi dziedzinami wiedzy, co wobec jej rozwoju staje się dziś coraz bardziej nieosiągalne (wydaje mi się to być jedną z największych gróźb dla cywilizacji!). Najwięcej zawdzięczam teologom, potem przyrodnikom, wreszcie filozofom, od których starałem uczyć się ścisłego myślenia i precyzowania.

Dużo zawdzięczam czytaniu, więcej obserwacji i rozmowom, jeszcze więcej przykładowi, a nawięcej modlitwom i łasce.

Carrel twierdzi, że absurdem jest mierzyć rozwój życia ludzkiego obrotami naszej planety wkoło słońca, boć związek tych obrotów z funkcjami naszego organizmu jest prawie żaden. Według tego uczonego ścisłe badania lekarskie nad zmianami w osoczu krwi ludzkiej jako miernikiem czasu, wykazały, że połowa życia człowieka przebiega w pierwszych

kilku „słonecznych" latach. Tym się tłumaczy olbrzymi wpływ wczesnego dzieciństwa.

W zgodzie z tym uczonym, wydaje mi się, że więcej nad wszystkie inne później działające wpływy „z piersi Matki" zasadę życia wyssałem, (to samo konstatuje A. Gołubiew w swoim ciekawym curriculum vitae drukowanym w Nr 27 „Znaku").

Tak przeto wydaje mi się, że wpływ książek, acz znaczny, jednak w stosunku do innych działających czynników, bardziej jest powierzchowny. (Wydaje mi się, że skutecznym antidotum przeciw złej lekturze jest tak dziś zapoznana wśród naszej inteligencji praca fizyczna).

*

Ale czas wrócić w rozsadzone moimi wywodami, a przez redakcję skurczone do ostatniego stulecia, ramy ankiety.

Za wyjątkiem podręczników nauk przyrodniczych **żadna** książka pisana w latach 1850—1950 nie wywarła na mnie decydującego wpływu, aczkolwiek niektóre działały przelotnie.

Stało się to, jak mniemam, z przyczyn następujących. Od wczesnego dzieciństwa uderzały mnie objawy rozkładu ustalonych od wieków form cywilizacji europejskiej. Rozkład ten obserwowałem wśród wszystkich narodów i wszystkich środowisk, choć występował z niejednolitym nasileniem.

Z pisarzy polskich oddał go z wstrząsającą siłą Karol Hubert Rostworowski w cyklu „Niespodzianka — U Mety", a także Dołęga Mostowicz w makabrycznej powieści pod tytułem „Doktor Murek zredukowany". Widząc i odczuwając na sobie, jak w oczach kruszą się podstawy naszej cywilizacji, reagowałem na te książki, które choć w części wytłumaczyć mi mogły ten dręczący fenomen. W każdym niemal autorze różnych kierunków znajdywałem źdźbło prawdy, czasem wprost, czasem „a contrario". Rzucę tu parę dzieł, które niejedno mi wyjaśniły: **Były nimi przede wszystkim Encykliki**, z książek zaś:

Fustel de Coulange — „La cité antique", „La Grèce conquise par les Romains", Chénon — „Le role Social de l'Eglise", Rutten O. P. „La Doctrine Sociale de L'Eglise" G. Ferrero — „Wielkość i upadek Rzymu", Wells'a — „Historia Świata", Mommsen „Das Weltreich der Caesaren", Schmidt'a Socjologia, Le Play „La réforme Sociale en France", „La Constitution Essentielle de l'humanité", Fr. Delaysi „Les Deux Europes", G. Ferrero „Przemowy do głuchych", Wojciech Dzieduszycki „Dokąd nam iść wypada?", Stanisław Łoś „Hellada na przełomie", Spengler „Der Untergang des Abendlandes" z historyków polskich przede wszystkim: Kalinka, Bobrzyński, Skałkowski; Stanisława Koźmiana „Rok 1863"; z filozofów ostatnich lat 100: Taine „Filozofia sztuki", w młodości Nietzsche,

Maritain, Bergson, Brzozowski, Wojciech Dzieduszycki i „Historia filozofii" Wł. Tatarkiewicza. Z teologów: wszystkie dzieła Dom Columba Marmion, X. Żychliński: „Teologia życia wewnętrznego", „Co wiemy o życiu pozagrobowym?", „Wtajemniczenie w umiejętność świętych", „O działaniu Ducha świętego w duszy człowieka" czy nie Manninga? Dużo zawdzięczam pamiętnikom i monografiom...

Z powieści najbardziej przeżyłem Dostojewskiego „Bracia Karamazow" i wydaje mi się, że nawet wielki Lew Nikołajewicz Tołstoj daleki był od sięgnięcia równie wnikliwie „w przepastne głębiny" ludzkiej duszy. Lew Tołstoj wstrząsnął mną w pierwszych swych publikacjach: „Dzieciństwo", „Pamiętnik Sebastopolski", z późniejszych: „Sonatą Kreutzerowską" i „Zmartwychwstaniem". Dzieciństwo moje opromieniły Bajki Andersena, Lafontaine'a, Kryłowa, Historie W. Przyborowskiego a przede wszystkim „W pustyni i w puszczy" i Sienkiewiczowa Trylogia.

*

Kończę tym chaotycznie rzuconym, tak jak pamięć niosła, dość różnorodnym naręczem książek. Przemyślenie tych i innych dzieł, jak również prac z zakresu przyrodoznawstwa, (Carrel „Człowiek istota nieznana" i inne), dopomogło mi odpowiedzieć na pytanie, które dręczyło wiele umysłów mego pokolenia: czym jest burza, której podmuch zmiótł nasze domostwa i na czym polega przewrót?

Kiedy mnie pytano, odpowiadałem słowami, które przed laty kilkunastu nie były truizmem: „podłożem przewrotu jest rozwój wiedzy przyrodniczej z jej techniką, co świat przeobraziła, a istotą odejście ludzi od Boga"...

Magdalena Skarżyńska (Laski)

Książki wywierają wpływ na nas, a jednocześnie my sami, przyczyniając się do tworzenia ducha epoki wywieramy wpływ na literaturę. Wybór książki, którą bierzemy do ręki, jest też uczyniony z wolnej woli i w tym momencie człowiek raczej rządzi książką niż ona nim.

Myśląc o książkach, które wywarły wpływ na tworzenie się mego światopoglądu, widzę wyraźnie drogę jaką, przypuszczam, przeszło wielu ludzi mego pokolenia, tj. tych których dzieciństwo wypadło na pierwszy dziesiątek lat naszego stulecia...

Spotkanie z **Sienkiewiczem** było — poza stroną patriotyczną — pierwszym chyba spotkaniem z pięknem, którego poznanie ma tak duże znaczenie w tworzeniu się światopoglądu. Odczucie piękna porusza w nas wyższe, czystsze struny, jest może tym pierwszym motorem, który — o ile nie ulegniemy jakimś spaczeniom — toruje w nas drogę Łasce.

Spotkanie z pięknem było, oczywiście także, spotkaniem z poezją. **Konopnicka, Asnyk,** potem **wieszczowie,** wreszcie najbardziej przeze mnie umiłowany, **Wyspiański** — „Wesele" i „Warszawianka" były tymi utworami, które patriotyzm kształtowany na rycerskich sienkiewiczowskich eposach przeniosły na plan troski o Polskę nam współczesną.

Równolegle i niezależnie od tych nastrojów zaczęłam w tej epoce czytać coraz więcej powieści odpowiadających memu subiektywnemu spojrzeniu na świat. Wiele wówczas z tych powieści było bardzo wartościowych pod względem literackim: Reymont, Żeromski, Daniłowski, Stendhal, Anatole France, Flaubert, Romain Rolland, Tołstoj, — wpływ, który wywierały był jednak w sumie bardziej chyba destrukcyjny niż pozytywny. Pamiętam, jak długo żyłam w oczarowaniu „Wierną Rzeką", — czytałam ją kilka razy, zdając sobie przy tym sprawę, że przynosi mi ona raczej szkodę niż dobro.

W doborze literatury moich lat młodych, a nawet i późniejszych, widzę brak dzieł traktujących o kwestii społecznej, mimo że zaczęłam wcześnie społecznie pracować. Pamiętam, w dzieciństwie jakieś bolesne uczucie wstydu przy czytaniu „Janka Muzykanta" czy „Przed sądem" Konopnickiej. Odsuwało się to uczucie szybko i egoistycznie, jakby samoobroną.

Znacznie później pamiętam duże zainteresowanie wywołane **„Zagadnieniami społecznymi" ks. Szymańskiego.** Poza tym między wojnami czytywałem prawie stale „Prąd", a także sporo broszur wydawanych z okazji „Tygodni Społecznych" Odrodzenia.

Po wypadkach majowych 1926 roku nastąpił we mnie pewien przełom — zwrot w kierunku zainteresowań religijnych. Wcześniej jeszcze poznałam Ojca Korniłowicza, a wkrótce potem Laski i Bibliotekę Wiedzy Religijnej na Litewskiej. Trudno byłoby mi wyliczyć wszystkie książki religijne, które znaczyły moją drogę od tego czasu. Z tych, które pozostawiły dotychczas wspomnienie, a więc może i ślad, pamiętam „Pielgrzymki franciszkańskie" Joergensena, kilkakrotnie odczytywane, — „La prière de toutes les heures" (Modlitwa na każdą godzinę) O. Pierre Charles, — (do książki tej, która kiedyś wiele mi dała, nigdy później nie wróciłam, — to był jakby etap, który po przejściu go nie ma już znaczenia). Bardzo wiele dała mi też, parę razy czytana, „La Providence et la Confiance en Dieu" Garrigou Lagrange i tegoż samego autora „Les trois âges de la vie intérieure", — dalej Marmion, specjalnie „Le Christ idéal du moine", — dzieła św. Teresy z Avili, — Gardeil „Le Saint Esprit dans la vie chrétienne", — Mauriac „Journal" i „Jeudi Saint". Stosunek do Kościoła najpełniej oświetliła mi „Istota Katolicyzmu" Adama.

Z książek przeczytanych już po wojnie ślad światopoglądowy zostawiły mi: „Św. Franciszek" Chestertona, „Par delà la mort" Ch. de Boulogne, a także „O. Damian" Huenermanna, „Edmond Campion" i „Bri-

deshead revisited" Waugh, „The Power and the Glory" Greene'a, a ostatnio wspaniałe „Elected silence" Mertona.

Osobne miejsce należy się Gołubiewowi za jego dzieło o **Chrobrym.** Mnie specjalnie „Puszcza" przyniosła coś bardzo mocnego i ożywczego,— zanurzenie się w dawność polską, poczucie silnej więzi z początkami naszej historii chrześcijańskiej. To daje jakby renesans nowego, a jednocześnie bardzo głęboko korzeniami sięgającego patriotyzmu.

Niewątpliwie powieść katolicka na poziomie takim, jak wyżej cytowani autorzy cudzoziemscy, a u nas Gołubiew, Malewska, Parnicki, ma duże znaczenie w kształtowaniu światopoglądu.

Jeżeli chodzi o dziedzinę dokształcania religijnego, to wiele zawdzięczałam przez pewien czas „Katechizmowi" kard. Gasparriego, — ostatnio nieocenionej „Etyce katolickiej" O. Jacka Woronieckiego, a ogólnie biorąc książkom opartym na tomizmie. To ostatnie tyczy się również książek z dziedziny życia wewnętrznego. Tomizm daje im największą prostotę i przez to mogą one być dla każdego pomocą w jakże trudnej i nieudolnej realizacji wyznawanego światopoglądu.

Student I roku.

Powieść: 1) Quo Vadis — H. Sienkiewicz.

Już w latach gimnazjalnych ta powieść wywarła na mnie poważny wpływ. Postawiła mi wtedy problem, czym jest wiara, co człowiekowi daje i czy jest konieczna, by stać się pełnym człowiekiem.

2) Faraon — Bolesław Prus.

Powieść ta pozwalała mi zrozumieć problem państwa i siły w nim działające. **Zastanawiała mnie w trakcie czytania kwestia moralności politycznej**. Czy jest rzeczą godziwą mord, intryga, zdrada itd., jeśli chodzi o dobro państwa i społeczeństwa. Wypłynęło z tego dla mnie wielkie zainteresowanie historią, a przede wszystkim naukami społecznymi. **Problem moralności w polityce i problem ustroju społecznego, opartego na sprawiedliwości jest dla mnie do dziś dnia otwarty.**

3) Germinal — Emil Zola.

Powieść ta ukazuje w całej grozie życie młodzieży robotniczej w XIX w. Pokazała mi przede wszystkim zagadnienie seksualne jako nie tylko kwestię osobistą czy wymagającą tylko interwencji rodziców, ale jako kwestię społeczną. Utwierdziła mnie w przekonaniu, że do zwalczania zboczeń seksualnych nie wystarczy ambona, dobre słowo i powaga rodziców, ale zmiana warunków bytowania i na szeroką skalę zakrojona akcja uprawiania sportu. Problem bowiem seksualny i postawa wobec niego decydująco wpływa u młodzieży na krystalizowanie się światopoglądu.

4) **Pieśń o Bernadecie — Werfel.**

Jedyną chyba korzyścią, jaką odniosłem po przeczytaniu tej książki było to, że objawienie w Lourdes stało się dla mnie czymś bardziej rzeczywistym. Zawsze byłem bardzo sceptycznie nastawiony do wszelkiego rodzaju objawień i byłem skłonny uważać je za coś kompromitującego dla katolicyzmu. Pod wpływem tej książki zdaje się, że pojąłem znaczenie i wartość objawień i zaniechałem w stosunku do nich tej sceptycznej postawy.

5) **Kossak-Szczucka (Bez oręża).**

Książka, **po przeczytaniu której nabrałem przekonania w stosunku do świętych.** Zaimponowała mi wesołość i radość życia św. Franciszka; jego wielka życzliwość i miłość ludzi. Uważam też wesołość i radość wewnętrzną za najbardziej pozytywną cechę człowieka czy to w szkole, rodzinie czy w pracy.

Religia i filozofia:

1) **Wielka tajemnica — Okoński.**

Książka, która w całości zadecydowała o postawie moralnej i wywarła olbrzymi wpływ na mój światopogląd. Rozwiązała mi problemy, które dręczyły mnie od młodych już lat. Stawia problem jasno i otwarcie, bez ogródek i rozwiązuje problem na właściwej płaszczyźnie. Zmieniła radykalnie mój sposób myślenia o sprawach seksualnych i — o ile mam być szczery — powstrzymała mnie od wielu grzechów. Na jej podstawie urobiłem sobie zdrowy, moim zdaniem, pogląd na sprawy seksualne, zrozumiałem ich pełne i godziwe przeznaczenie zwłaszcza dla ludzi przygotowujących się do stanu małżeńskiego. Potrafię obecnie utrzymać zdecydowaną równowagę na tym punkcie i nie mam większych trudności w sprawach płciowych. Przemówiła do mnie raczej strona rozumowa tej książki, aniżeli religijna. Nawiasem mówiąc o powyższą książkę biliśmy się.

2) **„Rerum novarum" i „Quadragesimo Anno" — encykliki.**

Przekonały mnie o prawdziwości doktryny społecznej katolickiej i o konieczności jej realizacji.

Student biologii (Wrocław).

Ponieważ trudno mi jest wtłoczyć tworzenie się mojego światopoglądu w podany przez „Znak" schemat ankiety, — muszę użyć formy „zwierzeń".

W kształtowaniu się moich poglądów brak jest punktów wyraźnie zwrotnych, przełomowych. Pod momenty w wymienionym sensie możnaby ewentualnie podciągnąć „emocje" dostarczone mi przez lekturę, która wywarła na mnie bardzo duże wrażenie. Nie była już ona jednak czynnikiem determinującym, lecz raczej „wzmacniającym", potwierdzającym.

Moje przekonania powstawały stopniowo, narastały — do ostatecznych konkluzji doszedłem w r. 1945.

1) Literatura i poezja — jak w ogóle sztuka — nie miała żadnego wpływu na tworzenie się mych poglądów (mówię o „literaturze pięknej"). Sztuka — jak sądzę — nie posiada znaczenia gnoseologicznego. Dlatego tylko powierzchownie znam literaturę zarówno polską jak i obcą (Sienkiewicz, Prus, Sieroszewski, Orzeszkowa, Jack London, Dickens, Ostenso, Żeromski i in.). W literaturze widziałem jedynie wartość rozrywkową. Dlatego też od dawna zwracałem się do beletrystyki, która podobno nie zasługuje na miano literatury („epopeja" Tarzana, historyjki cowboyskie, Conan Doyle, Edgar Wallace, Chesterton, Curwood, Droonberg, Gaston Leroux, cała masa podróżniczych itp.). Najprzyjemniejszymi były, rzecz jasna, powieści J. Verne'a, G. H. Wells'a, Hansa Dominika, Umińskiego (najlepiej pamiętam Dominika: „Atomgewicht 500", „Brand der Cheopspyramide", „Das Erbe der Uraniden", „Atlantis"). Powieści fantastyczne i nowele tego samego rodzaju, których przeczytałem dziesiątki, miały na mnie niewątpliwie silny wpływ. One skłoniły mnie do tego, by zainteresować się naukami, przede wszystkim przyrodniczymi.

(Teraz zrobię odstępstwo od wzoru ankiety i naprzód udzielę odpowiedzi na jej punkt czwarty).

2) Nauki specjalne. Spośród nich zainteresowałem się naprzód historią, która była dla mnie pociągająca jeszcze w tym okresie, gdy nie zetknąłem się z nią na terenie szkolnym. Najbardziej ponętną była prehistoria oraz historia starożytnego Wschodu — historia kultury. Toteż jeszcze jako uczeń szkoły powszechnej grzebałem we wszelkich dostępnych mi książkach w poszukiwaniu danych z dziejów ludów azjatyckich. Dokładniej zaznajomiłem się z tym terenem dopiero później — gdy uzyskałem uniwersyteckie podręczniki historii, przeważnie w języku niemieckim. Zaopatrzyłem się również w poważne dzieła traktujące o historii kultury.

W okresie 5 klasy szkoły powszechnej, a zwłaszcza w okresie 6 klasy, gdzie był przewidziany przedmiot „Przyroda martwa", zwróciłem się ku naukom przyrodniczym. Wyłuskiwałem z czasopism dziecinnych i młodzieżowych (np. „Płomyczek") skąpe artykuliki z dziedziny fizyki i astronomii. W wieku 13 lat miałem możliwość zaznajomienia się z poważniejszą literaturą popularno-naukową z zakresu nauk przyrodniczych. W latach 1941—1945 przeczytałem kilka książek z zakresu astronomii, wydanych przez Trzaskę, Everta i Michalskiego.

Z podstawami fizyki zaznajomiłem się w oparciu o podręczniki szkolne oraz książki prof. Raabe „Fizyka" (wyd. Trzaska, Evert i Michalski). Oprócz tego skorzystałem z książki (nieznanego mi autora) „Elektrony i atomy".

Geologia: w latach 1941—1944 przeczytałem kilka książek z tej dziedziny (nie pamiętam niestety ani ich tytułów ani nazwisk autorów). Traktowały one o powstaniu, rozwoju i budowie ziemi.

Biologia: szkolna biologia („Przyroda"), podawana w formie nudnej, na nikim nie robiła żadnego wrażenia. W roku 1943 miałem możność poznania kilku przedwojennych broszurek o ewolucji, pochodzeniu człowieka. Te zagadnienia wywoływały już pewien „nastrój". W roku 1945 przeczytałem dr. G. Veuzmer'a „Die Regel des Stoffwechsels". W tej książce uderzyła mnie możliwość naturalnego, fizjologicznego tłumaczenia procesów psychologicznych.

Chemia: w okresie, o którym piszę, były mi dostępne jedynie gimnazjalne podręczniki chemii (nie podam autorów). Wiadomości z zakresu chemii organicznej były bardzo przydatne do wyrobienia sobie pewnego pojęcia o mechanizmie procesów biologicznych.

Geografia: ciekawą była dla mnie przeczytana w 1941 roku „Geografia w kalejdoskopie" (Hendrik van Loon). Lecz znacznie większe znaczenie miały dla mnie w nieokreślony sposób zdobyte wiadomości o historii odkryć geograficznych.

Podałem w zasadzie wszystko, co ze strony „nauk specjalnych" miało wpływ na tworzenie się moich przekonań. Muszę jeszcze nadmienić o roli wiadomości z historii nauk. Zazwyczaj każda książka (o wspomnianym charakterze) zawierała we „Wstępie" garść uwag o historycznym rozwoju danej dyscypliny. W ten sposób pojąłem rolę św. Inkwizycji w kształtowaniu się współczesnej nauki (zaznaczam, że autorzy nie przeprowadzali żadnych ataków przeciwko Kościołowi; ograniczali się jedynie do stwierdzenia, że np. Giordano Bruno zginął na stosie itp.).

Tak więc, — z biegiem czasu, w miarę poznawania wiedzy, choćby w formie popularno-naukowej, tworzyło się u mnie przekonanie o rozłamie między nauką a religią.

Sprzeczność ta występowała zupełnie wyraźnie — nawet jak dla piętnastoletniego wyrostka — gdy chodziło o poglądy na kosmogonię, powstanie ziemi, rozwój życia.

„Gwoździem do trumny" (ostatnim!) stał się pewien artykuł o zapomnianym tytule i nazwisku autora, który znalazłem w reprezentacyjnym miesięczniku kobiecym „As" (nie wspominałem o tym poprzednio; miesięcznik przedwojenny!). Artykuł traktował o rozwoju życia na ziemi: miał charakter geologiczno-paleontologiczny. Po jego przeczytaniu uświadomiłem sobie jasno, że rozbieżność między religią a nauką nie da się w żadnym wypadku usunąć przy pomocy środków uzyskanych na szkolnych czy domowych lekcjach religii.

Oczywiście — nie odważyłem się jeszcze wtedy na wyciągnięcie jakichś radykalnych wniosków, że należy unikać konfrontacji religii z nau-

ką. Brak mi bowiem było odpowiedzi na pytanie, jak powstało życie na ziemi. Z możliwością naturalnego wytłumaczenia powstania życia zetknąłem się dopiero w 1945 r. w książce Reymond „Illustrierte Entwicklungsgeschichte der Natur". Ale jeszcze przedtem — przy „studiowaniu" podręcznika chemii organicznej z fizjologicznymi wtrętami uświadomiłem sobie, że mechanizm życia może mieć charakter przemian fizyko-chemicznych. Do tego przekonania pomogło mi zdjęcie wirusa (i komentarz do niego), zamieszczone w książce Fabre'a „Das Leben und Bau der Pflanze" (czy coś w tym sensie) (rok 1945).

3) Filozofia i religia. Zaczynam od filozofii, bo mało mam tutaj do powiedzenia. Mógłbym wymienić nazwiska kilkunastu czołowych filozofów, o każdym z nich potrafiłbym powiedzieć kilka zdań, lecz poza tym — orientuję się jedynie w problematyce filozofii. Unikam na razie dzieł filozoficznych, choć mam sporą biblioteczkę tego rodzaju.

Od dawna — równolegle z mymi pseudostudiami przyrodniczymi — interesowałem się historią kultury, zwłaszcza historią religii. Udało mi się zebrać garść wiadomości o judaizmie, buddyzmie, braminizmie, o religiach Mezopotamii, Chin i o niektórych religiach pierwotnych. To mi pozwoliło właściwie zaklasyfikować chrystianizm, właściwie ocenić Pismo św. (Jestem w posiadaniu wyciągów z indyjskiej Rig-Vedy, z Koranu; posiadam zwięzłe streszczenie Zend-Avesty, streszczenie Upaniszad; poza tym — Pismo św.).

Pod koniec 1945 r. narzuciło mi się zagadnienie wolności woli a ingerencji Boga w losy świata i ludzkości. Ponieważ w systemie dogmatów kościelnych brak jest rozwiązania tego zagadnienia w sposób pozbawiony sprzeczności — zadeklarowałem się przed samym sobą jako ateista. W okresie tym zresztą — porównując naukę z religią i zastanawiając się nad podstawami tej ostatniej — musiałem skłonić się do wniosku, że wiara ma jedynie psychologiczne uzasadnienie — jako wyraz marzeń i pragnień człowieka. Wykazuje jednak zupełny brak tego „momentu konieczności", momentu, któryby nakazywał przyjąć ją, jako jedyne rozwiązanie zagadnień światopoglądowych. Apodyktyczny sposób podawania religii w szkole nie dawał żadnych środków, żadnych metod do zapełnienia luki między nauką a fideizmem. Dotychczas nie znałem jeszcze prób uzgodnienia nauki religii z nauką. Zetknąłem się z nimi dopiero w 1946 r. (w jesieni) w I lic., gdzie dogmatyka katolicka była przedmiotem szkolnym. Pierwszy podręcznik dogmatyki „Prawdy wiary" (autorem jest jakiś ksiądz) wyd. w 1946 r. do użytku szkolnego, potwierdził moje stanowisko. To samo — dyskusje z kolegami i księżmi. W I lic. po raz pierwszy jawnie wystąpiłem jako niewierzący. Również lektura Pisma św. pomogła mi w umocnieniu moich przekonań. Usiłowania koordy-

nacji religii z nauką skłoniły mnie do wyboru ekonomiczniejszego, prostszego sposobu rozumowania, który prowadzi do ateizmu.

Tutaj muszę wymienić jeszcze dwie pozycje, które stały się dla mnie prawie zupełnym potwierdzeniem mych przekonań: przeczytana w 1946 roku broszurka Michajłowa „Jak powstało życie na ziemi" i rozdział napisany przez prof. dr. Skowrona „Biologia ogólna" w książce „Świat — Życie — Człowiek". Nie były one żadnymi „momentami zwrotnymi", „rewolucjami" w myśleniu, ale dostarczyły mi silnych „emocji" jako potwierdzenie słuszności obranej przeze mnie drogi (znam również broszurę ks. prof. Kłósaka, pomyślaną jako antidotum przeciwko współczesnym biologicznym herezjom).

Zgromadziłem pewien zapas podręczników dogmatyki (katolickiej!) z różnych lat (koniec XIX w. — 1946 r.). Ewolucja stosunku religii do nauki (np. do teorii Darwina) okazuje się również zagadnieniem wartym przemyślenia.

Muszę podkreślić, że unikałem i unikam literatury antyreligijnej i antykościelnej. Wydrwiwanie religii, wykpiwanie Boga, duchowieństwa itd., czego próbki poznałem z jedynego numeru „Wolnej Myśli" i przewertowanej książki „Jak człowiek stworzył boga" — zraziło mnie całkowicie do tego rodzaju „twórczości". Bojowość stylu, brak rzeczowej krytyki i zastąpienie jej przez nieudolne i niewybredne kpiny — może odstręczyć nawet autorów tych „dzieł" od ich powtórnego przeczytania.

Swoje stanowisko chętnie poddaję kontroli w dyskusjach z kolegami czy księżmi — przy każdej możliwej okazji. Ponieważ dotychczas jeszcze nie zetknąłem się w takich dyskusjach z przekonywującymi argumentami — więc, jak narazie — nie zanosi się na powtórną w mym życiu zmianę własnych przekonań.

Zamiast krótkiej i prostej odpowiedzi na ankietę — podałem właściwie odpowiedź na pytanie „Jak kształtował się mój światopogląd?" Skutkiem tego musiałem trochę zmienić układ samej ankiety, chcąc utrzymać porządek chronologiczny poszczególnych etapów tego procesu. Mam nadzieję, że moje „wyznania" okażą się dla Redakcji równie przydatne, jak lakoniczna ankieta.

J. G. (Kraków)

Pierwszymi książkami, które we wczesnym dzieciństwie wywarły bardzo wyraźny wpływ na moją postawę moralną, były powieści z życia szkolnego St. Pasławskiego. Już wówczas irytowały mnie swą ckliwością i naiwnością, a jednak równocześnie niesłychanie silnie prowokowały do podjęcia moralnego współzawodnictwa z idealnymi bohaterkami, które bądź co bądź charakteryzowała zdecydowanie pozytywna cecha świa-

domego wysiłku i ambitnych zamierzeń stawianych pracy nad charakterem. W kilka lat później analogiczną rolę odegrał szereg życiorysów współczesnych młodych ludzi: „Pier Giorgio Frassati" Cojazziego, „Podniebny lot", „Coraz wyżej" Du Plessisa, „Płomień ofiarny" Lekeux (książka w najwyższym stopniu niepokojąca jakimś straceńczym prawie maksymalizmem, budzącym bardzo gwałtowne opory, a nie dającym się odsunąć z myśli). W dziedzinie religijnej najwięcej jako dziecko zawdzięczam książce „Jezus, Król Miłości", która wówczas nie zrażała mnie silnym ładunkiem dewocyjnym, lecz bardzo silnie dynamizowała bezpośredniością apostolskiego żaru, z jakim jest napisana, i maksymalizmem postulatów stawianych katolikowi. We wczesnej młodości analogiczną rolę odegrali „Giganci" Majdańskiego (a właściwie pierwszy rozdział książki, „Wstydzenie się Pana Boga"). O ile dobrze pamiętam, było to pierwsze książkowe uświadomienie społecznego aspektu katolicyzmu, potrzeby uchrześcijanienia stosunków międzyludzkich.

Pierwsze książki wprowadzające w istotę katolicyzmu to: Charles „Modlitwa na każdą godzinę", książki Marmiona, „Kazania o mszy św." i „Das Jahr des Heiles" Parscha („wtajemniczenie" we właściwie pojętą dziedzinę liturgii, razem z jej tak ważnym aspektem społecznym). Na drugim biegunie stoi w tym czasie mała broszura, której autora nie pamiętam, ale doskonale pamiętam dobroczynny niepokój, jaki na bardzo długo posiała: „Zdobyć świat dla Chrystusa", publicystyczne ale żarliwe obliczenie „stanu posiadania" łaski i Boga na świecie. W tej samej dziedzinie dużo zawdzięczam czytanym w czasie wojny „Rozważaniom" Kasznicy.

Po wojnie pozycjami „kluczowymi" lub „wyjściowymi" były: odczyt Zawieyskiego o twórczości katolickiej (drukowany następnie w TP), artykuł Świeżawskiego pt. „Pojednanie" (TP), numer Znaku poświęcony zagadnieniom kultury (artykuły Turowicza, Gołubiewa, Salamuchy), oba listy pasterskie kard. Suharda (drukowane w „Znaku"). W dziedzinie literatury pięknej rolę żywych uosobień realizacji postulatów poznawanych przedstawiły w pierwszym etapie: „Poezje" Lieberta „Śpiew z pożogi" Baczyńskiego, „Orfeusz" Świrszczyńskiej, „Powrót syna marnotrawnego" Brandstaettera.

TREŚĆ ZESZYTU:

25



IN HOC

SIGNO

VINCES